

Archiwum Państwowe w Szczecinie
Kuratorium Oświaty w Szczecinie

Znajdź swoją pamiętkę rodzinną i opisz jej historię

**Prace laureatów V edycji
konkursu historyczno-literackiego**

Szczecin 2024

Redakcja: Małgorzata Duras, Janina Kosman

Korekta: Magdalena Szmorąg-Nerć

Skład, łamanie: Anna Rajska

Projekt okładki: Joanna Wilanowska-Ośka

Na okładce wykorzystano fotografie ilustrujące teksty Laureatów V edycji konkursu: Jagody Kozłowskiej, Kai Machały, Szymona Owczarka, Laury Wacinkiewicz i Michała Woropay-Hordziejewicza.



Redakcja informuje, że w prezentowanych tekstach dokonano skrótów i poprawek merytorycznych, logicznych i stylistycznych.

Copyright by Archiwum Państwowe w Szczecinie 2024

Copyright by Kuratorium Oświaty w Szczecinie 2024

ISBN 978-83-66028-28-9

(wersja papierowa, Archiwum Państwowe w Szczecinie)

ISBN 978-83-66028-29-6

(wersja pdf, Archiwum Państwowe w Szczecinie)

Wydanie I

Nakład: 150 szt.

Spis treści

Od wydawców	5
Laureaci V edycji konkursu historyczno-literackiego „Znajdź swoją pamiętkę rodzinną i opisz jej historię”	11
Prace Laureatów V edycji konkursu historyczno-literackiego.....	13
Michał Woropay-Hordziejewicz, Listy ze Starobielska.....	14
Agata Lisewska, Portret.....	22
Sara Witkowska, Pierwszy raz poznałam ojca, gdy miałam 71 lat.....	24
Jakub Narloch ***	30
Adam Patyk, Bohater ze zdjęcia – Obrońca Helu, mój pradziadek Władysław.....	36
Jagoda Kozłowska, Wojenne koleje losu Franciszka Żarskiego.....	42
Maria Arsoba, Drogi Pamiętniku... – dziękuję!.....	50
Elżbieta Sidorczuk, Maszyna do szycia prababci Bronisławy.....	55
Maria Strumińska, Moja pamiętka rodzinna – narzuta zrobiona przez praprababcię.....	61
Aleksandra Jarczevska, Wiara, nadzieja i miłość – historia krzyża.....	65
Maja Sabalska, Historia pamiętki rodzinnej.....	71
Kaja Machała ***	75
Szymon Owczarek, Tekturowa książeczka i zagubiony krzyż. Kim byłś prapradziadku?.....	78
Zofia Siuta ***	85
Laura Wacinkiewicz ***	94
Sandra Kossak-Łopyta, W domu mojej Prababci Gertrudy zawsze wisiał obraz.....	99
Gala rozdania nagród Laureatom V edycji konkursu.....	105



**Drodzy Uczniowie – uczestnicy konkursu,
Szanowni Rodzice i Nauczyciele!**

Z wielką radością odebrałem przekazywaną w Państwa ręce publikację prac uczniów, którzy wzięli udział w konkursie „Znajdź swoją pamiętkę rodzinną i opisz jej historię”. Konkurs ten miał na celu nie tylko rozwijanie umiejętności pisarskich i historycznych, ale przede wszystkim zachęcenie młodych ludzi do odkrywania i pielęgnowania rodzinnych tradycji oraz wspomnień, które budują naszą tożsamość.

Gratuluje wszystkim uczestnikom konkursu. Wasze zaangażowanie, Wasza pasja odkrywania historii z przeszłości widoczne są w każdym tekście, każdej pracy konkursowej i w każdym Waszym słowie. Każda pamiętka, o której opowiadają uczniowie, niesie ze sobą wyjątkową historię – historię ich przodków, ważnych momentów w życiu rodzin, a także wydarzeń, które miały wpływ na losy naszego kraju. Te małe skarby, często przechowywane z pokolenia na pokolenie, przypominają o wartościach, które przekazujemy kolejnym generacjom.

Jestem głęboko przekonany, że poprzez ten konkurs młodzi autorzy nie tylko zbliżyli się do swoich korzeni, ale również zrozumieli, jak ważne jest pielęgnowanie pamięci o przeszłości. Ich prace są świadectwem tego, jak żywe są nasze wspomnienia oraz jak wielką wagę mają rodzinne historie w kształtowaniu przyszłości.

Serdecznie gratuluje wszystkim uczestnikom konkursu oraz ich nauczycielom, którzy zainspirowali młodzież do zgłębiania tych tematów. Jestem przekonany, że lektura tych prac dostarczy czytelnikom wielu wzruszeń i refleksji.

Jednocześnie dziękuję Dyrektorowi Archiwum Państwowego w Szczecinie dr. hab. Krzysztofowi Kowalczykowi, że miałem możliwość udziału w tym niezwykłym i ważnym projekcie.

Z wyrazami szacunku,

Paweł Palczyński
Zachodniopomorski Kurator Oświaty



„Słońce przytuli nas do swych rąk
 I spójrz, ziemia ciężka od krwi
 Znow urodzi nam zboża łan
 Złoty kurz
 [...]

 Chleby upieką się w piecach nam
 I spójrz, tam gdzie tylko był dym
 Kwiatem zablizni się wojny ślad
 Barwą róż
 Dzieci urodzą się nowe nam
 I spójrz, będą śmiać się, że my
 Znow wspominaliśmy ten podły czas
 Porę burz”

Nim ustanie dzień,
 słowa: Agnieszka Osiecka, Krzysztof Trzciniński

Szanowni Nauczyciele i Rodzice! Drodzy Uczniowie!

Oddajemy w Wasze ręce publikację zawierającą prace laureatów V edycji konkursu pt. „Znajdź swoją pamiętkę rodzinną i opisz jej historię”. Celem przedsięwzięcia realizowanego wspólnie przez Kuratorium Oświaty w Szczecinie i Archiwum Państwowe w Szczecinie była popularyzacja wśród uczniów zachodniopomorskich szkół wiedzy historycznej, poznanie historii rodzinnej, a tym samym zainteresowanie uczniów tematyką poszukiwań genealogicznych, propagowanie wiedzy o gromadzeniu i zabezpieczaniu pamiątek przeszłości z archiwów rodzinnych, doskonalenie własnego warsztatu piśmienniczego. Zadaniem uczestników było napisanie pracy literackiej, zawierającej interesujący opis pamiętki wraz z przytoczoną jej historią. Do tegorocznej edycji konkursu przystąpiło 80 uczniów, a komisja wyłoniła 16 laureatów. Należy podkreślić, że realizowane przez pięć lat (2019-2024) przedsięwzięcie edukacyjne cieszyło się wielkim zainteresowaniem uczniów z Pomorza Zachodniego, łącznie wzięło w nim udział 1191 uczestników (w 2020 r. – 380, 2021 r. – 452, 2022 r. – 170, 2023 r. – 109, 2024 r. – 80), zaś laureatami zostały 94 osoby. Świadczy to o wielkiej chęci poznawania przez młodych ludzi rodzinnej, a przez to lokalnej, regionalnej i polskiej historii. Z każdej edycji konkursu wydano prace laureatów.

Opisanie historii cennego przedmiotu (artefaktu) będącego w posiadaniu rodziny, może być przyczynkiem do poznania jej przeszłości. Artefakty rodzinne to z reguły archiwalia (np. dzienniki, pamiętniki, dokumenty urzędowe, fotografie, mapy), biżuteria (np. pierścionki, naszyjniki, medaliony zegarki), ruchome dzieła sztuki (np. obrazy, rzeźby, meble) przedmioty codziennego użytku (np. brzytwa, tabakiera, okulary, zabawki), sprzęty gospodarstwa domowego (np. maszyna do szycia, radio). Przedmioty te są ważnym źródłem, symbolem, kluczem do odkrywania historii rodu,

lokalnej społeczności, regionu i kraju. Równie ważne, pogłębiające wiedzę o rodzinnej przeszłości mogą być rozmowy z najstarszym pokoleniem (pradziadkami, prababciami, dziadkami, babciami) osnute wokół historii tych artefaktów. Dzięki tym konwersacjom, dialogom, spotkaniom nie tylko poszerzamy swoją wiedzę o przeszłości, ale budujemy autentyczne więzi rodzinne. Ma to szczególne znaczenie na Pomorzu Zachodnim, które od 1945 roku zasiedlali Polacy ze Wschodu i Zachodu. Byli to wysiedleńcy z Kresów Wschodnich; przesiedleńcy z Polski centralnej, Wielkopolski, Małopolski, dawnego województwa pomorskiego; reemigranci z Zachodu; byli więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych, sowieckich łagrów (sybiracy); robotnicy przymusowi z terenu III Rzeszy; żołnierze Armii Krajowej, Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie (andersowcy, maczkowcy) czy 1. i 2. Armii Wojska Polskiego (w ramach tzw. osadnictwa wojskowego). Na teren Pomorza Zachodniego przybywali również Żydzi, Ukraińcy, Grecy, Macedończycy. Wszyscy oni tworzyli nową, regionalną tożsamość.

Warto poznawać historię własnej rodziny i swojego miejsca zamieszkania. Dziękuję wszystkim uczestnikom V edycji konkursu, ich rodzicom i nauczycielom. Tylko pamiętając o przeszłości, ukorzeniamy i budujemy swoją tożsamość. Jednocześnie pragnę podziękować Zachodniopomorskiemu Kuratorowi Oświaty Pawłowi Palczyńskiemu za wspólny udział w przedsięwzięciu, który jest wyrazem owocnej współpracy obu instytucji państwowych (kuratorium i archiwum).

dr hab. Krzysztof Kowalczyk
Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie





Laureaci V edycji konkursu historyczno-literackiego
Znajdź swoją pamiętkę rodzinną i opisz jej historię

1. Michał Woropay-Hordziejewicz, Technikum Informatyczne SCI w Szczecinie
2. Agata Lisewska, Szkoła Podstawowa nr 68 im. 12 Pułku Ułanów Podolskich w Szczecinie
3. Sara Witkowska, Szkoła Podstawowa nr 1 im. Tadeusza Kościuszki w Nowogardzie
4. Jakub Narloch, Szkoła Podstawowa im. Jana Kochanowskiego w Sławsku
5. Adam Patyk, Zespół Szkół im. Pamięci Ofiar Terroryzmu 11 września 2001 r. w Kaliszu Pomorskim
6. Jagoda Kozłowska, XVIII Liceum Ogólnokształcące im. Józefa Wybickiego w Szczecinie
7. Maria Arsoba, Szkoła Podstawowa nr 6 im. Zdobywców Wału Pomorskiego w Szczecinku
8. Elżbieta Sidorczuk, Szkoła Podstawowa im. Stefana Żeromskiego w Trzcińsku-Zdroju
9. Maria Strumińska, Katolicka Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II w Szczecinie
10. Aleksandra Jarczewska, Szkoła Podstawowa nr 3 im. Polskich Olimpijczyków w Nowogardzie
11. Maja Sabalska, Polsko-Amerykańskie Szkoły Prywatne w Szczecinie
12. Kaja Machała, Zespół Szkół Sportowych im. Sportowców Ziemi Szczecińskiej w Szczecinie
13. Szymon Owczarek, Szkoła Podstawowa im. Janusza Korczaka w Gostomii
14. Zofia Siuta, Szkoła Podstawowa im. Przyjaciół Dzieci w Mierzynie
15. Laura Wacinkiewicz, Polsko-Amerykańskie Szkoły Prywatne w Szczecinie
16. Sandra Kossak-Łopyta, Szkoła Podstawowa nr 7 im. Heleny Raszki w Szczecinie



Prace Laureatów
V edycji konkursu historyczno-literackiego

Znajdź swoją pamiątkę rodzinną i opisz jej historię

Michał Woropay-Hordziejewicz

Technikum Informatyczne SCI w Szczecinie

Listy ze Starobielska

W naszym domu jest wiele pamiątek po moim pradziadku – kpt. dypl. Wojska Polskiego Piotrze Woropay-Hordziejewiczu ur. 1.12.1901 r. Pradziadek był uczestnikiem wojny polsko-bolszewickiej (1919-1921) i absolwentem Politechniki Warszawskiej.

Od 1926 r. pełnił zawodową służbę wojskową. Ukończył Wyższą Szkołę Wojenną oraz Wyższą Szkołę Intendentury. Pełnił służbę w Dowództwie Okręgu Korpusu nr III w Grodnie. We wrześniu 1939 r. zmobilizowany w ramach Armii „Prusy”, brał udział w wojnie obronnej. Jako uczestnik kampanii wrześniowej w 1939 r. został wzięty do niewoli sowieckiej, wywieziony 15 listopada 1939 r. do obozu jenieckiego w Starobielsku i zastrzelony pod Charkowem w kwietniu 1940 r.

Pamiętki te, to m.in. świadectwa ukończenia szkół, przydziały wojskowe, dokumenty świadczące o podjętych przez prababcie Helenę w roku 1940 poszukiwaniach mojego pradziadka na terenie ZSRS (odpowiedź prokuratora Starobielska z dnia 8.10.1940 r., odpowiedź Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Moskwie z dnia 20.01.1943 r. o bezskutecznie wysyłanych zapytaniach o informacje dotyczące miejsca pobytu jeńców wojennych przebywających do maja-czerwca 1940 r. w obozach na terenie Związku Sowieckiego).

Muszę wspomnieć, że moja prababcia Helena, jako żona oficera wojskowego, też nie miała łatwego życia, gdyż w kwietniu 1940 r. została deportowana wraz z trójką dzieci do płn.-wsch. Kazachstanu. Po zakończeniu wojny kontynuowała swoje poszukiwania poprzez Związek Patriotów Polskich w ZSRR (pismo z dnia 9.06.1945 r.). Myślę, że etap ten zakończyło postanowienie Sądu Grodzkiego w Szczecinie z dnia 24 maja 1950 r. o uznaniu za zmarłego Piotra Woropay-Hordziejewicza z oznaczeniem jego śmierci na 9 maja 1946 r. Zaznaczyć muszę, że wśród dzieci wywiezionych do Kazachstanu był mój dziadek – Janusz. Niestety zmarł zanim się urodziłem, więc nie miałem okazji usłyszeć jego relacji i wspomnień z tamtych okrutnych czasów. Wiem natomiast od mojego taty, że dziadek pojechał do Starobielska i Charkowa złożyć hołd swemu ojcu zastrzelonemu tam wraz z innymi oficerami Wojska Polskiego. Dzisiaj wszyscy mają świadomość, że był to mord wykonany na mocy decyzji najwyższych władz ZSRS z Józefem Stalinem na czele, zawartej w uchwale Biura Politycznego Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowej Komunistycznej

Partii (bolszewików) z dnia 5 marca 1940 r. o rozstrzelaniu oficerów Wojska Polskiego i funkcjonariuszy Policji Państwowej więzionych w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie oraz polskich więźniów przetrzymywanych przez NKWD na obszarze przedwojennych wschodnich województw Rzeczypospolitej Polskiej tzw. „decyzja katyńska”.

Egzekucji jeńców z obozu w Starobielsku (ok. 3800 osób), NKWD dokonało przez strzał w tył głowy. Ciała natomiast zakopano w masowych mogiłach pod Charkowem. Podobny los spotkał także osadzonych w obozach w Kozielsku i Ostaszkowie, wszyscy uznani za „zatwardziałych, nierokujących poprawy wrogów władzy sowieckiej” – rozstrzelani w Katyniu i w Twerze (Kalininie). W wyniku tej decyzji zamordowano łącznie 22 tysiące obywateli polskich.

O tym, że mój pradziadek zginął w kwietniu 1940 r. wiem, bo ostatnie listy do prababci napisał w marcu. Natomiast w telegramie z dnia 7.04.1940 r. zaznaczył, żeby mu nic nie wysyłać, co w powiązaniu z ujawnioną całemu światu prawdą o obozach w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie, nie pozostawia żadnych wątpliwości.

Postanowiłem, że właśnie listy będą tematem mojej pracy, gdyż uważam je za szczególną pamiętkę rodzinną. Babcia mówiła mi, że mój dziadek (Januszek, o którym pradziadek pisał w listach) trzymał je zawsze na swoim biurku, w zielonej teczce, a teraz ma je mój tata (syn Janusza).



1 strona – depesza z 29.11.1939 r.

Starobelsk - 29. XI. 1939.

Kajdrożni Helu, Januszkę, Zbyszka i Leszka!

Żyje zdrowi. Myślę stale o Was i jestem niespokojny o wasze życie i zdrowie. W końcu października i początku listopada miałem kilka przykrych snów, szczególnie o Helu i Januszkę. Sny te bardzo mnie zamieszkały. Szajcie mi zaraz krótki telegram - kto żyje, a kto nie żyje, oraz piszcie często listy - czy jesteście zdrowi, gdzie i jak żyjecie, jak żyją rodzice, czy jest Janka? Niech Janka mieszka stale razem i niech pomaga doglądać dzieci aż do mego przyjazdu. Czy nie jeździł kto furmanką do Grodna zabrać jakies drobne rzeczy lub dowiedzieć się o nie. Jeżeli nie, to i nie warto, jest to głupstwo. Helu, czy otrzymałaś pieniądze, które wystatem 1. września przez Wilno - 500 zł, w październiku - przez Lwów - 500 zł. i w listopadzie - 400 zł. Ja czuję się dobrze. Poznatem obecnie kilka ładnych miast rosyjskich, jak Kijów, Półtawa, Charków. Choć klimat południowy jest Tagodny i jest ciepło, to jednak na zimę, która się już zaczyna, przydatyby mi się - 1 weteranane rękawice, 1 weteranane skarpetki i 1 ciepłe kalesony. Jeżeli będziecie mogli przyslyciec to dla mnie, a przy okazji też około 2 kg. solony słoniny. Jeżeli będzie trudno, to nie wysylajcie. Bądźcie zdrowi. Sciskam i całuję Was mocno - Wasz Protus

/Pozdrowienia rodzicom i znajomym./

Depesza z 29.11.1939 r.

Старобельск 16/12 - 1939

Дорогая Тэля и дорогие сынки -
- Янушек, Збышек и Лешек!

От начала войны не имел от Вас и о Вас никаких весточек. Не знаю где вы проживаете. В конце ноября месяца я выслал к Вам карточку и просил чтоб вы уведомили меня короткой телеграммой - кто живёт, а кто не живёт, так как я очень беспокоюсь о Вас особенно о Янушке и Тэлю, о которых имели плохие сны. Янушка я даже видел во сне сегодня. Затем пишу Вас часто письма. Находите ли с Вами Янка - пусть она будет и поможет воспитывать малышей. Гродно - брошено. Напишите - получили ли Вы деньги, которые выслал я Тэлю в сентябре - и сколько получили вместе? Я нахожусь здоров и живу хорошо. Климат на юге имеет теплотой. Только от пары дней есть морозик около 0 до 2 градусов и маленький снежок. Желаю Вам всего хорошего, поздравляю и желаю крепко всех - Вам семья. Родителей и знакомых - много привету.

Depesza w języku rosyjskim z 16.12.1939 r.

Jak pomyślę, że listy te przetrwały 85 lat, czyli dwukrotnie więcej, niż dane było żyć mojemu pradziadkowi wierzącemu, że dzięki swojej korespondencji zdoła utrzymać więź z rodziną, to nie sposób nie dostrzec, jak ogromną i ponadczasową mają moc. Listy te przetrwały wojnę, przemierzyły w walizkach prababci Heleny tysiące kilometrów. Według mnie, tak dobrze się zachowały, gdyż były przechowywane przez wszystkich kolejnych ich posiadaczy, z ogromną miłością i troską. Bez wątpienia ocalały od zapomnienia pradziadka Piotra, a fakt, że nadal są czytane oznacza, że więź rodzinna ciągle jest utrzymywana. Dzięki listom mogę sobie wyobrazić jak ciężka do zniesienia była rozłąka z najbliższymi, ile niepokoju w pradziadku wzbudzała niewiedza o losach jego żony Heleny i małych synkach.

Pierwsza depesza od pradziadka wysłana ze Starobielska datowana jest na 29.11.1939 r. Zaniepokojony złym snem prosił o natychmiastowy telegram z informacją kto żyje, a kto nie. W pierwszych słowach napisał: Najdrożsi Helu, Januszk, Zbyszku i Leszku! Żyjcie zdrow. Myślę stale o Was i jestem niespokojny o wasze życie i zdrowie (...).

Nie otrzymując zwrotnej odpowiedzi, kolejną depeszę wysłał w dniu 16.12.1939 r. w języku rosyjskim, zakładając, że w ten sposób zwiększy szanse na doręczenie jej adresatowi (obie depesze były o bardzo podobnej treści). Przetłumaczyłem ją: Od początku wojny nie mam od Was i o Was żadnych wiadomości. Nie wiem czy wszyscy żyjecie i czy wszyscy jesteście zdrowi i gdzie się znajdujecie. Ja bardzo niepokoję się o Was (...).

Z listu, który pradziadek napisał wiem, że wiadomość od prababci dotarła do niego w dniu 17 grudnia 1939 r. i była to pierwsza depesza jaką otrzymał od początku wojny, od czasu ich pożegnania w Grodnie, a więc od prawie czterech miesięcy. Jak zaznaczył, z niepokojem zaczynał czytać przesłaną wiadomość, bo prosił o bezwzględne podanie mu wszelkich wiadomości o rodzinie, niezależnie czy byłyby to informacje przyjemne, czy przykre. Po przeczytaniu tej wiadomości nieco uspokoił się. Martwił się jednak z powodu choroby synka Januszka, który zachorował na żółtaczkę. O poradę w tej kwestii poprosił współwięźniów lekarzy, a następnie w swoim liście do żony szczególnie opisywał, jak należy postępować z chorym dzieckiem.

Internowanym w Starobielsku pozwolono na nawiązanie kontaktów z rodziną pod koniec listopada 1939 r. Pradziadek również o tym napisał. Regulamin obozowy zezwalał na wysyłanie jednego listu na miesiąc, choć przepis ten nie był rygorystycznie przestrzegany. Zauważyłem, że jeden list pradziadek pisał przez kilka dni. Myślę, że taki sposób pozwalał mu na stałe utrzymywanie więzi z rodziną. Pradziadek przysyłał też depesze powielając niektóre informacje, bo

spotkałem się jedynie z opisem, że jeńcy ze Starobielska uważali, że zostaną przekazani do krajów neutralnych, a w najgorszym wypadku – Niemcom. Myślę, że pradziadek do końca był optymistą, miał 39 lat i był otwarty na świat, a przede wszystkim marzył, by zobaczyć się z rodziną.

Ile szczęścia i radości mogą sprawić listy doręczone ich adresatowi, nie trzeba nikogo przekonywać, ale myślę, że wielką siłą daje również ich pisanie do najbliższych. Pradziadek pisał to tak, jakby rozmawiał z bliskimi i był obok nich. Jak skończył się mu papier, to wykorzystywał bibułki od papierosów. Prababcia liściki te również zachowała i wszystkie są przekazywane następnym pokoleniom.

Listy ze Starobielska stanowią dla nas cenną pamiątkę i mamy nadzieję, że w dalszym ciągu będą przekazywane w naszej rodzinie.

Telegram		Nr 66
<i>Телеграммы Государственного Управления</i>		Przewód nr <i>1000</i>
<i>Телеграфическая</i>		Uwagi służbowe:
Przyjęto dn. <i>14.10.1934</i>		<i>Bygonia</i>
godz. <i>10</i> min. <i>15</i>		
z <i>Bygonia</i>		
Podpis <i>men</i>	Urząd	
z <i>Starobielska</i> nr <i>598</i> słów <i>35</i> dn. <i>7</i> / <i>10</i> godz. <i>22</i> min. <i>12</i>		
<div style="display: flex; justify-content: space-between;"> <div style="font-size: small;"> <p>Państwowe przedsiębiorstwo „P. T. T.” nie przyjmuje odpowiedzialności za straty wynikłe z zachowania, przekazywania, lub opóźnienia telegramów.</p> <p>Drukarnia Państwowa nr 93229.</p> </div> <div style="border: 1px solid black; padding: 5px;"> <p><i>Государство не отвечает за потерю или опоздание телеграмм.</i></p> <p><i>Копия телеграммы с оригиналом.</i></p> <p><i>Копия телеграммы с оригиналом.</i></p> <p><i>Копия телеграммы с оригиналом.</i></p> <p><i>Копия телеграммы с оригиналом.</i></p> <p><i>Копия телеграммы с оригиналом.</i></p> <p><i>Копия телеграммы с оригиналом.</i></p> </div> <div style="font-size: x-small;"> <p>P. T. T. nr 1000/1000 (IX 1933). 5 000 000 w Bl. 1 100. Białostocki oddział pocztowy</p> </div> </div>		

Ostatni telegram

Agata Lisewska

Szkoła Podstawowa nr 68 im. 12 Pułku Ułanów Podolskich w Szczecinie

Portret

Styczeń 1945 roku. Mrozy przekraczające 20°C. Pierwsze oddziały Armii Czerwonej wkraczają do Prus Wschodnich. Niemcy obiegają informacje o mordach i gwałtach na mieszkańcach zajmowanych przez Rosjan miejscowości. Zapada decyzja o ewakuacji całej prowincji.

Przez zamrznięty Zalew Wiślany idzie kolumna tysięcy jeńców wojennych, ewakuowanych z licznych obozów jenieckich, istniejących od 1939 r. na terenie Prus Wschodnich. Polacy, Francuzi, Rosjanie, Włosi. Wśród nich Edmund Lisewski, żołnierz kampanii wrześniowej, który dostał się do niewoli podczas bitwy nad Bzurą. Na zamrzniętej tafli wody za wędrowcami pozostaje ślad utworzony z nieruchomych ciał. Ludzie setkami padają z wyczerpania. Silniejsi nie są w stanie pomóc słabszym. Za próbę pomocy komukolwiek niemiecka eskorta strzela bez ostrzeżenia. Kolumna tysięcy ludzi z pochylonymi głowami sunie w całkowitym milczeniu. Słychać tylko wiatr i co jakiś czas odgłosy wystrzałów niemieckich karabinów. Nikt wokół nie tracił sił na rozmowy. Niewiele widać w zamieci. Trzeba uważać na nawiane zasy pykłego śniegu, by nie wpaść w nie, na porozrzucane przedmioty i zamrznięte ciała, by nie potknąć się o nie. Kto przewraca się, już nie wstaje.

Wycieńczeni jeńcy po drodze wyrzucają wszystkie zbędne przedmioty i pamiętki, które niosą w niedużych tobołkach. Najmniejszy dodatkowy ciężar zmniejsza szansę na przeżycie. Edmund w chlebaku ma kawałek deski, na której namalowany jest jego portret. Kupił go za dwie paczki papierosów od obozowego kolegi, rosyjskiego jeńca, studenta Akademii Sztuk Pięknych w Leningradzie. Z każdym kilometrem deska ciąży mu coraz bardziej. Idąc, otwiera chlebak i skostniałymi palcami próbuje wyciągnąć obraz, aby pozbyć się zbędnego bagażu. Mocuje się z tym przedmiotem, odpuszcza, po chwili marszu znów próbuje. Jest zły na samego siebie, że spakował obraz wraz z kawałkiem chleba, przyborami do golenia, papierosami oraz kilkoma zdjęciami. Idzie resztkami sił, gdy nagle tuż przy szlaku zauważa drobne ciało w rosyjskim mundurze przysypane śniegiem. Od razu rozpoznał sylwetkę obozowego malarza. W tym momencie uświadomił sobie, że portret namalowany ręką tego człowieka, który niesie w chlebaku, jest najważniejszą rzeczą, którą posiada. Być może tylko to zostanie po tym młodym chłopaku, który nie będzie nawet miał swojego grobu. Jego ciało zasypie śnieg, a wraz z wiosennymi roztopami

pochłonie woda. Poczucie obowiązku ocalenia śladu po leningradzkim malarzu dodało mu sił. Przetrwał morderczą przeprawę przez zamrożone wody Zalewu Wiślanego i dalsze etapy ewakuacji w głąb Niemiec, aż do późniejszej brytyjskiej strefy okupacyjnej. Po zakończeniu wojny powrócił do Polski. Poza kilkoma osobistymi rzeczami jedynym jego dobytkiem była deska z portretem, namalowanym przez człowieka, któremu nie było dane wrócić do domu.



Portret Edmunda Lisewskiego namalowany przez rosyjskiego jeńca, studenta Akademii Sztuk Pięknych w Leningradzie

Sara Witkowska

Szkoła Podstawowa nr 1 im. Tadeusza Kościuszki w Nowogardzie

Pierwszy raz poznałam ojca, gdy miałam 71 lat

Będąc w szóstej klasie w szkole podstawowej, chciałam szukać swego ojca przez Polski Czerwony Krzyż – powiedziała moja ciocia, córka Bolesława Wawera, Danuta. Pierwszy raz usłyszałam o Bronisławie Wawerze od mojego ojca, który znalazł stare wydanie książki o „Czarnym Bronku”. Tak nazywano w powiecie lwóweckim wśród starszych ludzi wujka Bronka.

Dwie siostry: Regina, Helena.

Regina w 1951 roku była w ciąży. Ojcem dziecka był Bronisław Wawer, z którym zawarła związek małżeński w Lubomierzu. Był listopad 1951 roku – Regina Wawer wysoko w ciąży i chorując na anemię, leżała na oddziale porodowym. Regina była pod nadzorem Służby Bezpieczeństwa. Leżąc w szpitalu, martwiła się o swojego męża Bronka, którego poszukiwało SB. Bronisław Wawer urodził się w 1930 w Dysie (pow. lubartowski). Z zawodu był traktorzystą i pracował w Nagórze oraz w Rakowicach Wielkich. Po otrzymaniu powołania do wojska zaczął się ukrywać. W czerwcu 1951 roku Bronisław wraz z Józefem Dudkiem założyli na terenie powiatu Lwówek Śląski nielegalną organizację o charakterze niepodległościowym i antykomunistycznym o nazwie „Służba Podziemna”. Głównym celem organizacji była walka o wolność Polski. „Służba Podziemna” gromadziła broń i pieniądze, drukowała ulotki o charakterze patriotycznym i antykomunistycznym. Nawiazali oni kontakt z podobnymi organizacjami działającym na Lubelszczyźnie. Organizacja utworzyła szereg punktów kontaktowych, dzięki którym uzyskiwała informacje o aktywności służb komunistycznych i członków partii. Członkowie organizacji wysyłali do sekretarzy partii z pobliskich miejscowości listy z wyrokami śmierci, chcąc w ten sposób utrudnić im realizację polityki partii wobec wsi (np. pobieranie kontyngentów). Towarzyszyły temu działania zbrojne: w listopadzie 1951 roku na terenie PGP w Nagórze, w październiku 1951 roku na terenie spółdzielni w Olesznej Podgórskiej. O działaniu tej organizacji i jej istnieniu doniósł służbom bezpieczeństwa mój dziadek Bolesław Kowalczyk.

Z relacji cioci Danuty i babci Heleny wiem, że Bronisław Wawer ps. Listek złapał dziadka Bolka w Płóczkach Górnych w domu, kazał mu podpisać przygotowany dla niego wyrok śmierci, chcąc zmusić go do zaprzestania działalności w partii, w której był sekretarzem. Babcia Helena była świadkiem namocnym całego zajścia i opowiadała, że dziadkowi udało się uciec, nie zważając

na to, że był tylko w kalesonach. Mąż Heleny w ten sposób uniknął śmierci.

W związku z działaniem „Służby Podziemnej” organy bezpieczeństwa państwa podjęły działania, których celem było rozbrojenie organizacji. W tym celu opracowano plan pod kryptonimem L-K-1, a w jego ramach zbierano informacje o członkach organizacji, werbowano informatorów. Wśród nich był mieszkający z nimi przyjaciel Reginy i Bronisława Wawerów. Służby zorganizowały zasadzkę w mieszkaniu Zofii Migdał. Było to mieszkanie, w którym miał przebywać Bronisław Wawer. Uniknął on zasadzki, nie pojawiając się w tym miejscu. Działania informatorów pozwoliły aresztować innych członków organizacji oraz ustalić tożsamość zastępcy Wawera.

Pod koniec 1951 roku działalność organizacji uległa wzmoczeniu. Świadczyły o tym napad na Spółdzielnię Samopomocy Chłopskiej w Płóczkach oraz na Spółdzielnię w Olesznej Podgórskiej. W tym czasie ciocia Regina była na oddziale porodowym pod nadzorem Służby Bezpieczeństwa. Urodziła córkę Danutę. Bronisław Wawer ukrywał się, nie mógł odwiedzić żony ani córki. Siostra Helena martwiła się o zdrowie Reginy. Nie mogąc jej odwiedzić, starała się przekazać produkty żywnościowe poprzez funkcjonariuszy stojących przed drzwiami sali szpitalnej. Nie zawsze odnosiła sukces.

W tym czasie Bronisław Wawer ukrywał się. 4 grudnia 1951 roku „Służba Podziemna” zorganizowała zasadzkę w rejonie Nadgórze. Podczas akcji Bronisław został postrzelony w brzuch i zatrzymany. Jego zastępca zdołał uciec. Pod koniec listopada 1951 roku została zatrzymana matka Bronisława, Helena Wawer, pod zarzutem pomocy nielegalnej organizacji. Wobec niej i jej syna Bronisława prokurator wojskowy we Wrocławiu zastosował tymczasowe aresztowanie.

Z opowiadań Danuty Wawer i babci Heleny wynikało, że Bronisław Wawer był nawet kilka razy dziennie przesłuchiwany, a przesłuchaniom towarzyszyło znęcanie się nad nim, głównie poprzez bicie. W sumie był on przesłuchiwany 26 razy. Babcia Helena mówiła, że przesłuchania te były kilkugodzinne i miały na celu zmuszenie Bronisława do wydania pozostałych członków organizacji. Bronisław nigdy nie złożył zeznań zdradzających swoich współpracowników.

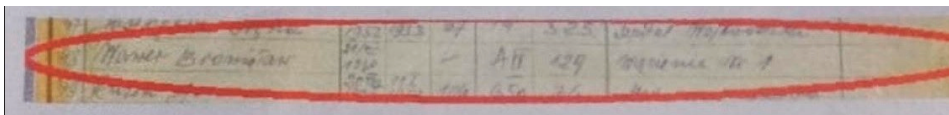
Postępowanie sądowe toczyło się w Wojskowym Sądzie Rejonowym we Wrocławiu. Przez cały ten okres Bronisław Wawer był tymczasowo aresztowany a rodzina nie miała prawa do odwiedzin. Z przekazu rodzinnego wynikało, że Regina wraz z Heleną i kilkumiesięczną Danutą udały się do sądu na rozprawę, aby spotkać się z Bronisławem i pokazać córkę. Przed salą rozpraw zobaczyli Bronisława w obecności milicjantów. Bronisław na widok żony chciał odwrócić się

i zobaczyć córkę. Funkcjonariusze milicji uderzyli go kolbą od karabinu.

Bronisław Wawer nigdy nie zobaczył swojej córki. Jego matka podczas śledztwa była kopana w brzuch, umieszczana w celi z wygłodniałymi szczurami gryzącymi ją po nogach oraz umieszczana w celi z zimną wodą na posadzce. Chcieli ją w ten sposób zmusić do zeznawania przeciwko synowi Bronisławowi. Zatrzymano mu jego osobiste rzeczy w tym grzebień i list.

W czerwcu 1952 roku zapadł wyrok przeciwko Bronisławowi Wawerowi, który za utworzenie i działalność w organizacji „Służba Podziemna” został skazany na 15 lat pozbawienia wolności. Na skutek zaskarżenia wyroku, sprawa ponownie trafiła do Wojskowego Sądu Rejonowego we Wrocławiu i w sierpniu 1952 roku Bronisław Wawer został skazany na karę śmierci. obrońca Wawera złożył wniosek o prawo łaski, ale Rada Państwa z tego prawa nie skorzystała. Bronisław Wawer został w dniu 12 stycznia 1953 roku zabity metodą tak zwaną katyńską.

Ciocia Danuta opowiadała, że gdy odnaleziono zwłoki jej ojca, pokazano jej zdjęcie czaszki Bronisława, gdzie było wyraźnie widać, jak wykonano karę śmierci. Bronisław był pochowany w bezimiennym grobie na cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu.

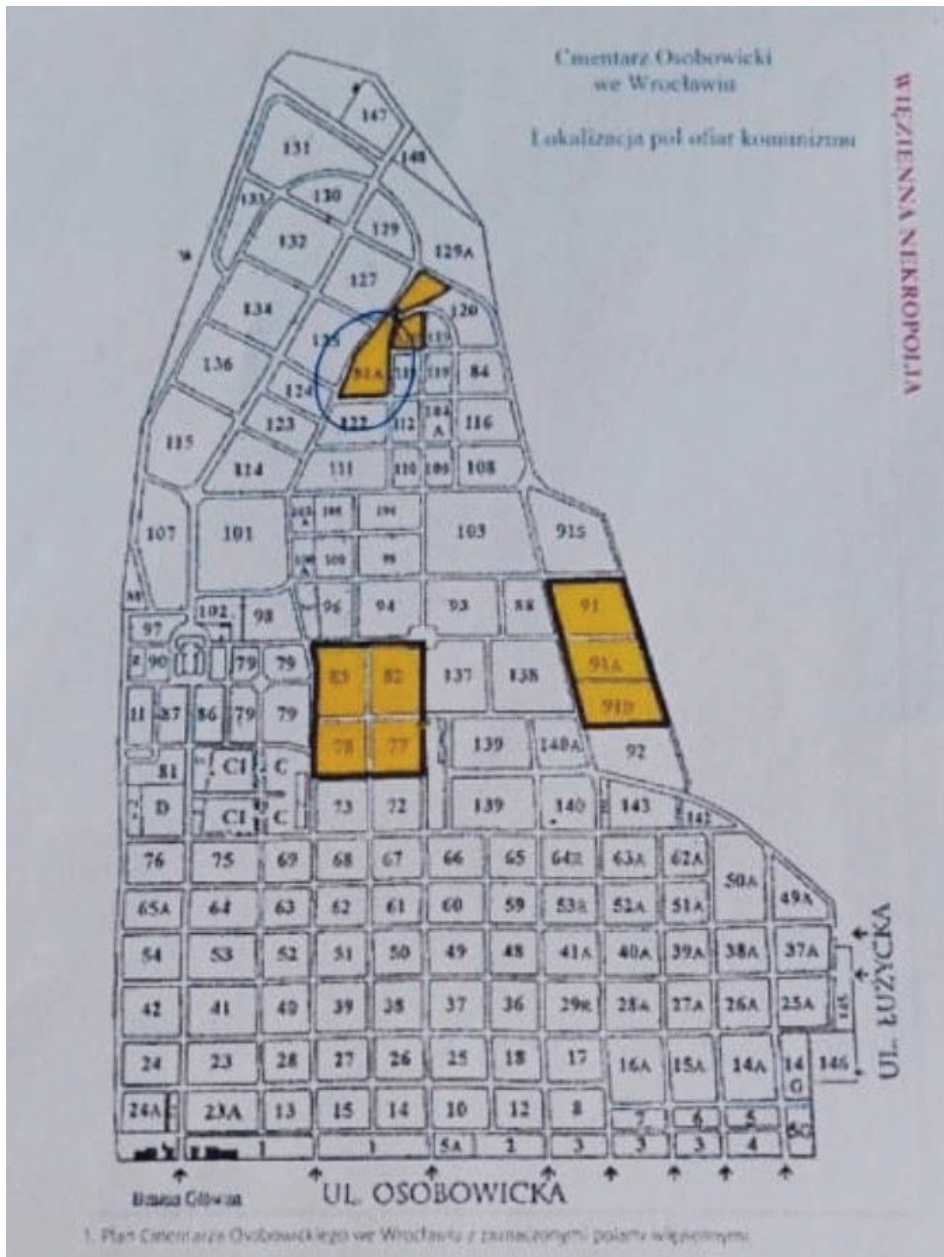


Wpis w Księdze Cmentarnej Wrocław – Osobowice, 1953 r.

Z opowiadań rodziny wiemy, że w trakcie rozprawy sądowej szydzono z Bronisława. Wyśmiewano się, że chciał przy pomocy czapki ruskiej i dwóch granatów walczyć z państwem polskim. Wymienione przedmioty były wystawione na sali sądowej. Śmierć Bronisława wpływała na stosunek miejscowej ludności do Reginy i jej córki. Regina wielokrotnie żaliła się swojej matce, że mieszkańcy poniżali ją poprzez plucie w jej stronę. Regina pozostała z dzieckiem bez środków do życia. Postanowiła podjąć pracę z daleka od wsi, w której mieszkała. Jednak nawet w Pławnie, gdzie pracowała, ludzie z niej szydzi.

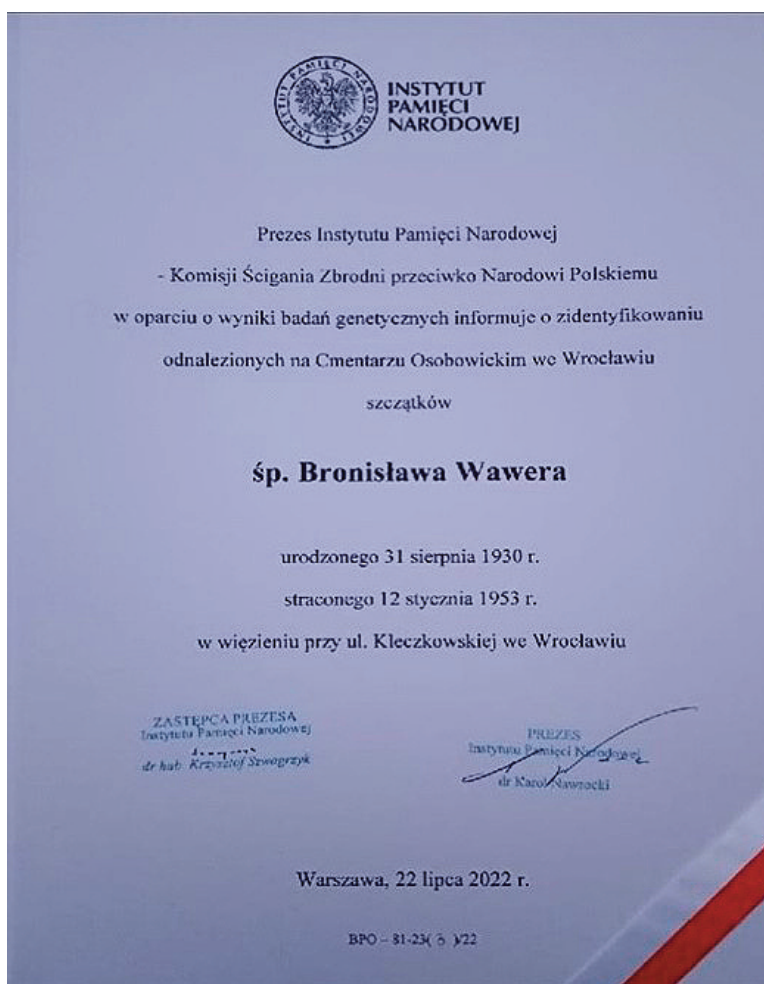
Obie siostry podjęły więc decyzję, że dla dobra rodziny będą unikać tematu związanego z Bronisławem Wawerem. Z tego powodu będąc w szóstej klasie szkoły podstawowej, Danuta nie wiedziała o śmierci ojca. Chciała go szukać przez Polski Czerwony Krzyż. Dopiero jako dorosła kobieta, dowiedziała się od matki o śmierci ojca i o jej przyczynach. Nie mogła jednak udać się na grób ojca. Tam, gdzie był pochowany, były tylko mosiężne krzyże bezimiennych zmarłych.

Po upadku komunizmu, przeprowadzane były ekshumacje zwłok osób represjonowanych na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu. Z mapki cmentarza można odczytać, gdzie pochowane były ofiary komunizmu.

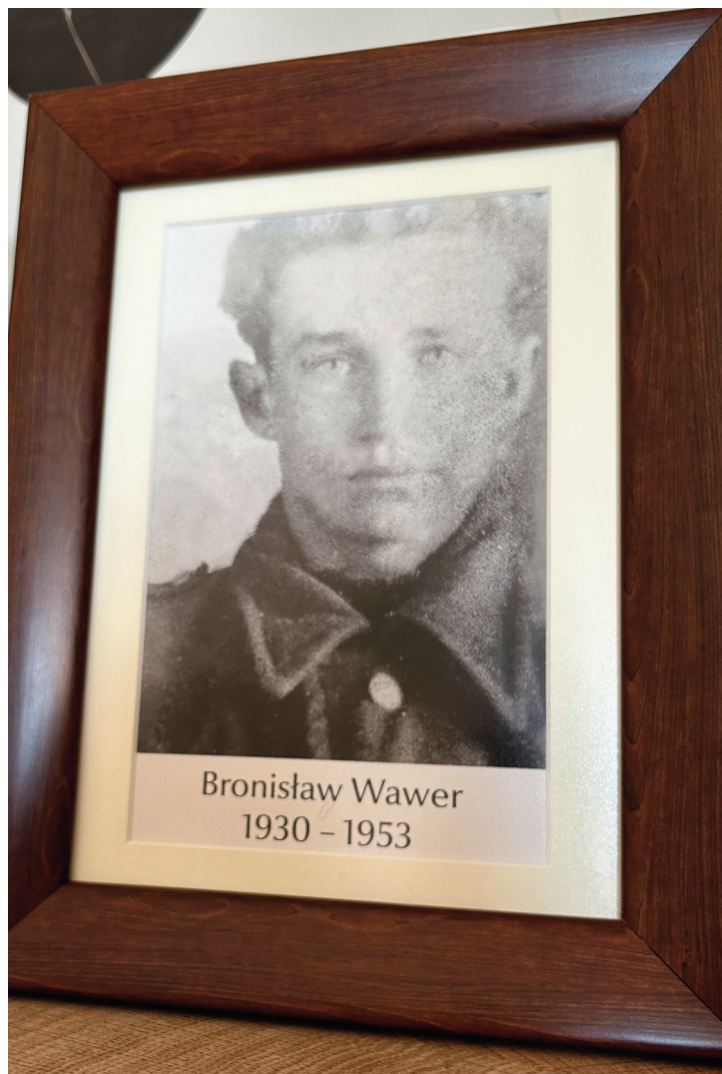


Strona z książki pt. „Cmentarz Osobowicki we Wrocławiu. Pola ofiar komunizmu”.
Kółkiem zaznaczono kwatery pochowania Bronisława Wawera.

Instytut Pamięci Narodowej poinformował ciotkę Danutę o odnalezieniu prawdopodobnie zwłok jej ojca. Celem umożliwienia identyfikacji zwłok od ciotki pobrano DNA. W ten sposób ustalono, że odnalezione szczątki należały do jej ojca. Obecnie jest on pochowany wraz z innymi oficerami na tym samym cmentarzu, w mogile zbiorowej pod murem z czerwonej cegły. Córka Bronisława Wawera z ulgą stwierdziła, że wreszcie zna miejsce grobu ojca i że wreszcie jest on pochowany pod swoim imieniem i nazwiskiem. Przez całe swoje życie bała się, że nigdy nie pozna miejsca, gdzie został pochowany i nie będzie mogła zapalić na grobie znicza.



Dnia 22 lipca 2022 roku Danuta Bartek uczestniczyła w uroczystości zorganizowanej w Pałacu Prezydenckim, gdzie prezydent RP Andrzej Duda wręczył jej notę identyfikacyjną sporządzoną przez Instytut Pamięi Narodowej. Otrzymała też zdjęcie swego ojca. Mając 71 lat, po raz pierwszy poznała Bronisława Wawera i spojrzała mu prosto w twarz. Zdjęcie ojca jako najcenniejszą pamiątkę trzyma na komodzie obok swojego łóżka.



Zdjęcie Bronisława Wawera

Jakub Narloch

Szkoła Podstawowa im. Jana Kochanowskiego w Sławsku

Nazywam się Jakub Narloch, jestem uczniem Szkoły Podstawowej im. Jana Kochanowskiego w Sławsku. Przeglądając pamiętki rodzinne w domu mojej prababci natknąłem się na książkę, która najbardziej przykuła moją uwagę. Jest to książka pt. „Wojna zaczęła się na Westerplatte” Stanisława Górnikiewicza i Andrzeja Drzycimskiego. Znajdują się w niej zdjęcia z okresu II Wojny Światowej. Na dwóch z nich znajduje się mój pradziadek – Jan Kurczyk. Był on jednym z 206 żołnierzy, którzy walczyli o naszą ojczyznę na Westerplatte. Dzięki temu znalezisku zainteresowałem się jego historią, ponieważ niestety nie było dane mi go poznać. Poprosiłem moją prababcie – Kazimierę Kurczyk o opowiadanie mi o swoim mężu, a dodatkowo przeszukałem internet w celu poszerzenia wiedzy.

Pradziadek urodził się 15 października 1915 roku w Peterschagen na terenie Niemiec. Polska w tamtym okresie była pod zaborami. Jego rodzicami byli Polacy – Petronela Kurczyk z domu Knetka, a ojcem Antoni Kurczyk. Poznali się na terenie Niemiec, tam się pobrali, a pradziadek był ich pierwszym synem. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, przeprowadzili się do wsi Łaszew w powiecie Wieluń. Tam pradziadek uczęszczał do szkoły powszechnej, której ukończył sześć oddziałów. Pracując na ojcowiznie został w 1938 roku powołany do wojska w Mołodecznie, gdzie na początku roku 1939 został wyróżniony i skierowany do szkoły łączności. Znajdowała się ona w Brześciu nad Bugiem. Niestety był to dla Polski bardzo niespokojny czas i już po miesiącu szkołę rozwiązano, a pradziadek wrócił do pułku macierzystego. W lipcu 1939 roku pradziadek wraz z innymi żołnierzami przybyli na służbę nad polski Bałtyk, gdzie miał obsługiwać centralkę telefoniczną i w ten sposób ukończyć obowiązkową służbę wojskową. Mijał spokojny czas i na dwa tygodnie przed wyjściem do cywila na rozkaz dowódcy trafił na misję w Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte. Niestety 1 września 1939 roku o godzinie 4:45 wybuchła II Wojna Światowa. Polska została zaatakowana przez Niemców. Wszyscy dookoła stali się niespokojni. Dowódcy coraz częściej przychodzili i wydawali rozkazy. Łączność między placówkami była zrywana, a mój pradziadek jako jeden z żołnierzy był zobligowany do naprawy uszkodzeń na zewnątrz, pod ostrzałem. W pierwszym dniu wojny żołnierze z czwartej wartowni zgłosili, że Niemcy z karabinami przedzierają się już przez siatkę, a inni od strony morza przechodzą pod falowaną ochronną blachą. Czujki wykryły szelest liści

i gałęzi, który zdradzał, że Niemcy próbują dostać się do pierwszej wartowni. Pradziadek słysząc wszystkie doniesienia i rozkazy był przestraszony. Martwił się o los swój i każdego innego żołnierza. Drugiego dnia walki podczas bombardowania Westerplatte przez Niemców zostały zniszczone koszary. Dwie bomby spadły jednocześnie. Jedna z nich w sam środek koszar, a druga w narożnik, gdzie znajdowała się centralka. Pradziadek wraz z kolegami, przeżył tylko dlatego, że w momencie rozpoczęcia bombardowania zeszli po schodach trochę niżej. Wszyscy, którzy pozostali na górze zginęli. Wówczas została podjęta decyzja o przeniesieniu centralki w bardziej bezpieczne miejsce. Okazało się również, że spadające bomby spowodowały zerwanie łączności z wartowniami. Jedna z nich była zrównana z ziemią, ale pozostałe także nie odpowiadały. Zostało zerwane połączenie sieci kablowej, która zamontowana była pod ziemią w opancerzeniu, ale bombardowanie było na tyle nasilone, że zniszczyło nawet te silne zabezpieczenia. Żołnierze podzielili się pracą. Po wyjściu na zewnątrz ujrzeni piątą wartownię, po której zostały tylko zgliszcza. Tlił się jeszcze ogień pochodzący z bomb zapalających. Po szybkim naprawieniu połączenia żołnierze wrócili do koszar. Czwartego dnia major Sucharski ogłosił, że szanse na obronę cały czas maleją i należy spalić wszystkie ważne dokumenty. Piątego dnia łączność z jedną z wartowni po raz kolejny została utracona. Major rozkazał, aby jeden z żołnierzy wyszedł w teren i naprawił kable. Niestety po kilku krokach na zewnątrz koszar został śmiertelnie postrzelony. Żołnierze postanowili, że poczekają aż się ściemni, aby było bezpieczniej. Cały czas rozmyślali co dzieje się z żołnierzami w trzeciej wartowni. Major Sucharski wydał rozkaz jednemu z żołnierzy, aby naprawił łączność. Niestety nie udało mu się tego osiągnąć i wrócił. Wtedy major Sucharski krzyknął: Zawołajcie do mnie Kurczyka! Pradziadek bardzo złękniony zameldował się. Sucharski oznajmił, że ma iść na trójkę, ponieważ konieczne jest połączenie z ową wartownią. Pradziadek Jan wyszedł, wziął kable i w ciszy ofiarował swoje życie Bogu. Szedł przed siebie tak cicho jak potrafił, a podczas drogi zahaczył butem o niewypał bomby. Jednak był tak skupiony na swoim zadaniu, że szedł cały czas przed siebie. Księżyc coraz mocniej mu przyświecał, a on przerażony szedł przed siebie, martwiąc się o trzecią wartownię oraz swoje życie. Kiedy dotarł do miejsca przerwanych przewodów połączył je. Nie wiedział jednak czy zrobił to prawidłowo, ponieważ było ciemno, a bardzo nie chciał wychodzić na zewnątrz po raz kolejny. Wrócił do koszar, a major Sucharski oznajmił mu, że połączenia nadal nie ma. Postanowił, że wyjdzie po raz kolejny i podejmie jeszcze jedną próbę naprawy połączenia. Jeszcze raz przebył tę samą drogę, wziął w ręce kable i nagle poraził go prąd. Okazało się, że major Sucharski niecierpliwie wysyłał cały czas prąd

wołania. Nagle nad jego głową pojawił się żołnierz. Pradziadek bardzo się przestraszył, a żołnierz szepnął do niego: Ja z trójki, nie bój się. Major zadzwonił i kazał mi iść ci naprzeciw i powiedzieć, że wszystko już jest dobrze. Wracaj z Bogiem. Wrócił więc z taką samą uważnością do koszar, gdzie zawołał go do siebie major Sucharski. W ciszy wyjął schowaną butelkę rumu i biały ser poprzerastrany śmietaną, spleśniały. Można było go kupić w kantynie za pięć złotych. Położył go na talerzu, a rum nalał do kieliszków. Pradziadek był z siebie dumny.

Tę historię usłyszałem w filmie, który został nagrany przez telewizję parę lat przed śmiercią pradziadka. Świetne uczucie usłyszeć głos swojego przodka, którego nie było dane mi poznać.

Tej nocy było spokojnie, ale już rano spadały na Westerplatte kolejne pociski. Oficerowie już wtedy rozmawiali na temat poddania się. I tak też zrobili. Siódmego dnia walki o godzinie 10.00 wywiesili na tyczce białą flagę, a dokładnie prześcieradło, które ją odzwierciedlało. Adiutant majora Sucharskiego wyszedł naprzeciw Niemcom i oświadczył im, że Polacy oddają się dobrowolnie w niewolę. Wszyscy żołnierze z Westerplatte ustawili się w dwuszeregu i w taki sposób przechodzili na niemiecką stronę. Major Sucharski na znak bohaterstwa Polaków otrzymał od niemieckiego Komandora szablę. Po dwóch tygodniach polskich bohaterów skierowano do pracy przymusowej. Pradziadek został wysłany do niemieckiego gospodarstwa, które znajdowało się 20 km od granicy Polski z Litwą i 20 km od Morza Bałtyckiego. Spędził tam 5 lat, będąc parobkiem. Zajmował się pracą na gospodarstwie rolnym i końmi gospodarza. Panowała tam niesamowita bieda. Polscy żołnierze byli traktowani podle. Prawie nie dostawali jedzenia. Zjadali resztki po zwierzętach. Na jedne święta w przeciągu całych pięciu lat otrzymali suche bochenki chleba. Dochodziło nawet do tego, że przeżuwali swoje skórzane paski od spodni.

Syn dziadka opowiadał mi, że zawsze powtarzał, iż nie życzy nikomu zaznać takiego głodu jak oni w czasie wojny. Często się modlił, był bardzo wierzącym człowiekiem. Zawsze powtarzał, że przeżył tylko dzięki nieustannej modlitwie.

Jesienią 1944 roku, kiedy zbliżał się front wyruszyli w stronę niemieckiej granicy z czterema końmi i dwoma wozami dobytku. Po 100 km drogi w kierunku Gdańska zatrzymali się na trzy miesiące. Żołnierze nocowali w stodole, gdzie w miednicy znajdowała się benzyna. Potrzebowali jej do źródła światła – lamp gazowych. Ktoś nieszczęśliwie nachylił się nad miednicą i benzyna się zapaliła. Niemcy nie mogli ugasić pożaru i uciekli. Konie na uwięzi się spaliły. Pradziadek swoją kurtką zadusił ogień w miednicy. Niemcy próbowali zrzucić

podpalenie na polskich niewolników, jednak gospodarz pradiadka stanął w ich obronie. Ruszyli dalej w drogę, w trakcie której, kopali schrony i budowali wzmocnienia przeciwczołgowe. Pod koniec kwietnia znaleźli się w pobliżu obozu w Stutthofie, gdzie trafił mój pradiadek. Stamtąd w nocy z 8 na 9 maja 1945 r. go wyzwolili.

Parę lat temu miałem okazję zwiedzić obóz w dzisiejszym Sztutowie. Niewiarygodne jest to, że niespełna 80 lat temu mój przodek odwiedził to samo miejsce w ogromnym strachu, widząc krematoria oraz ludzkie nieszczęście bał się o swoje życie.

Potem mieszkali w Elblągu, skąd w kolumnie sformowanej przez Rosjan szli do Olsztyna, gdzie już każdy mógł udać się w swoją stronę. Pradiadek zdecydował udać się do Warszawy na dachu pierwszego pociągu jadącego w tamtą stronę, a już 20 maja 1945 roku dotarł do rodzinnego Łaszewa, gdzie mieszkał przez dwa lata. Wraz z bratem, któremu zachorowała żona udał się na Ziemię Odzyskane do Staniewic, gdzie poznał swoją przyszłą żonę. Zatem mój pradiadek ożenił się z rodzoną siostrą swojej bratowej. W 1950 roku wzięli ślub kościelny, a po 9 latach cywilny. Założyli rodzinę i szybko się usamodzielni. Zamieszkali w Staniewicach na niewielkim gospodarstwie, gdzie do dzisiaj mieszka moja rodzina. Pradiadek zajmował się naprawą dróg.

Niestety organizm odczuł skutki wojny. Pradiadek poważnie zachorował na nowotwór żołądka. W trakcie operacji lekarze wycięli mu aż 75% żołądka. Doszło do poważnej rozedmy płuc i nie dawano mu dużych szans na przeżycie. Prognozy lekarzy jednak się nie sprawdziły i dziadek żył jeszcze dosyć długo. Na świat przyszła piątka ich dzieci. Przez długi czas przez strach nie opowiadał o wydarzeniach z okresu wojny. Pierwszego przemówienia udzielił podczas uroczystości nadania Szkole Podstawowej w Sławnie imienia majora Henryka Sucharskiego. Były to lata 80. Odważył się wtedy przed wszystkimi gośćmi opowiedzieć jak naprawdę to wszystko wyglądało.

Po wojnie robił bardzo duże zapasy jedzenia, żeby nigdy niczego nie zabrakło. Myślę, że każdy kto przeżył okres niewoli zaopatrywał się w wiele podstawowych produktów, aby nigdy ich nie zabrakło w obawie o powrót tego głodu, którego zaznali w okresie wojny.

Moi dziadkowie mieszkali w Staniewicach, kiedy urodziła się moja mama. Pradiadek był w niej zakochany. Był to już okres jego zaawansowanej choroby. Mama urodziła się w 1991 roku. Nie pamięta pradiadka, bo kiedy zmarł miała zaledwie 1,5 roku. Babcia opowiadała mi, że każdego dnia rano schorowany pradiadek wchodził do nich do pokoju po schodach, żeby pilnować kiedy jego wnuczka się obudzi. Babcia w pewnym momencie zaczęła

brać mamę na dół jak tylko się obudziła, żeby już bardzo słaby pradziadek nie musiał wchodzić po schodach. Pradziadek bardzo często chodził w mundurowych ubraniach, co odziedziczył po nim jego syn - mój dziadek, który teraz na co dzień się tak ubiera.

Dziadek zmarł 20 lipca 1993 roku. Pochowany jest na cmentarzu w Staniemowicach. Na jego grobie znajduje się Znak Pamięci – żeliwny krzyż z napisem Westerplatte i datą. Od paru lat na cmentarzu 1 września żołnierze i my – rodzina składamy mu hołd za jego zasługi. Chociaż tyle możemy zrobić, żeby okazać naszą wdzięczność za walkę o naszą ojczyznę. Co roku nasza rodzina otrzymuje zaproszenie na Spotkanie Rodzin Westerplatchyków, w którym uczestniczyłem w 80. rocznicę wybuchu wojny. Złożyłem wtedy kwiaty pod mogiłą majora Sucharskiego i Żołnierzy Obrońców Westerplatte.

Bardzo żałuję, że nie mogłem poznać pradziadka osobiście i porozmawiać z nim o wydarzeniach z okresu II Wojny Światowej. Moja prababcia natomiast ma obecnie prawie 93 lata i nadal ma się dobrze. Bardzo lubię ją odwiedzać i z nią rozmawiać. U prababci w domu znajduje się karton odznaczeń jej męża. Jestem niezwykle dumny mogąc je wziąć do ręki. Pradziadek otrzymał między innymi Srebrny Krzyż Orderu Virtuti Militari w 1989 roku, Medal „Za udział w wojnie obronnej 1939”, Medal 40-lecia Polski Ludowej i wiele, wiele innych. Mogę więc powiedzieć, że naszą pamiętką rodzinną jest cała historia mojego pradziadka. Wszystkie zdjęcia, filmy, medale. Opowieści mojej prababci, które zostaną ze mną na całe życie. Znalazłem także wydanie gazety „Głos Pomorza” z 18-19 października 1986 roku. Jest tam artykuł poświęcony mojemu pradziadkowi. Opowiada o wydarzeniach z Westerplatte oraz o tym, co działo się po wojnie. Największą pamiętką dla mnie jest jednak ta książka, ponieważ od niej wszystko się zaczęło. Dzięki temu znalezisku tak bardzo się zainteresowałem tematem. Do tej pory zadziwia mnie to, że w czasie wojny robiono tyle zdjęć, a na dwóch z nich jest mój pradziadek, poddający się siódmego dnia walki na Westerplatte.



177. Poddająca się załoga z mjr Henrykiem Sucharskim na czele

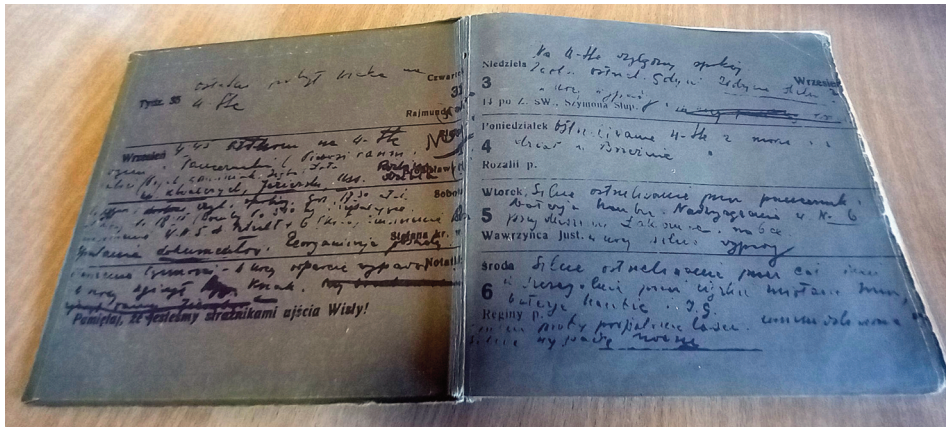
p. Kurczyk



178. Na pierwszym planie st. ogn. Leonard Piotrowski i mjr Henryk Sucharski, z tyłu sierż. Franciszek Toporowicz. Tymczasem przygotowałem trzy białe chorągiewki i opaski na rękawy... Nakładamy więc płaszczki, opaski i z chorągiewkami w ręce rozpoczynamy nasz tragiczny marsz. Major idzie pośrodku, strzelec Dobies po prawej, a ja po lewej stronie. Kiedy przekraczaliśmy bramę zauważyliśmy posuwającą się w naszym kierunku grupę żołnierzy lekko rannych i chorych, do których wiadomość o kapitulacji dotarła z opóźnieniem i wychodzące schronu naziemnego usłuchali nawoływań Niemców. Poczekaliśmy chwilę i zwartą grupą ruszamy wzdłuż kanału, machając chorągiewkami. Nagle na Zakręcie Pięciu Gwizdów pojawiła się patrolowa łódź motorowa z uzbrojonymi żołnierzami z karabinem maszynowym na dziobie. Widzę, jak celowniczy przykarabinał przy karabinie maszynowym i trzymając palec na spuście celuje wprost do nas. Gdy łódź zbliża się do brzozy, na odległość 40 m. rozlegają się krzyki: „Hände hoch, ihr Hunde!“ Blyskawicznie uprzytomniłem sobie, co nam grozi – i rzucając z wściekłością chorągiewkę na bok zawolałem: „Rece do góry!“ To nas uratowało. Uprzeliśmy lech teraz z bliska. Zaciekle korsarskie guby i oczy patrzące na nas z nienawścią. Teraz od wschodu ukazuje się nowy oddział żołnierzy z karabinami i automatami skierowanymi na nas, wołają, aby postawić się w lech kierunku. Idziemy więc koło spalonych warsztatów portowych wzdłuż naszego muru, z którego pozostały szczątki. Szukałem wzrokiem bezskutecznie jakiegoś starszego oficera, by jemu przedstawić naszą minę. Co chwila patrzyły aparaty fotograficzne i utrwały nas na kliszy (relacja st. ogn. Leonarda Piotrowskiego, za Filbowskiem).

p. Kurczyk 7.10.19

Stanisław Górnikiewicz i Andrzej Drzycimski, „Wojna zaczęła się na Westerplatte”



Stanisław Górnikiewicz i Andrzej Drzycimski, „Wojna zaczęła się na Westerplatte”

Adam Patyk

Liceum Ogólnokształcące w Zespole Szkół
im. Pamięci Ofiar Terroryzmu 11 Września 2001 Roku
w Kaliszu Pomorskim

Bohater ze zdjęcia – Obrońca Helu mój pradziadek Władysław



Władysław Witkowski (pierwszy z lewej) na zdjęciu z Oksywie - Helu z 1939 r.

Wstęp

Nazywam się Adam i mieszkam w Choszczynie. Uczęszczam do klasy pierwszej Liceum Ogólnokształcącego w Zespole Szkół w Kaliszu Pomorskim. Jestem w oddziale przygotowania wojskowego. Historia mojego pradziadka Władysława Witkowskiego, którą chcę przedstawić dotyczy rodziny od strony taty. Babcia Danuta, córka pradziadka wraz z mężem Edwardem byli dla mnie wielką pomocą i wsparciem podczas pisania tej pracy. To babcia pokazała mi zdjęcie, będące jedną z najcenniejszych pamiątek naszej rodziny – zdjęcie pradziadka, obrońcy Helu w 1939 r.

Fotografia pradziadka

Rodzinną pamiątką, którą chcę przedstawić, jest jedyne zdjęcie mojego pradziadka pochodzące z wojska, wykonane tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej w 1939 r. Na niewielkiej, o wymiarach 7 x 5,5 cm, mało wyraźniej, poźółkłej fotografii, widzimy trzech mężczyzn w mundurach na tle zabudowań. Dwóch w mundurach wojsk lądowych oraz pośrodku żołnierza –

marynarza. Po lewej stronie znajduje się bohater mojej pracy Władysław Witkowski w mundurze strzelca KOP. Babcia rozpoznaje go na zdjęciu. Pamięta, że dziadek nie był zbyt wysoki. Jak wynika z książeczki wojskowej miał zaledwie 153 cm wzrostu i ważył 56 kg. Ciekawostką jest, że dziadek, aby dodać sobie wzrostu stanął na podwyższeniu. Na odwrocie fotografii widnieje napis „Oksywie – Hel 1939”. To właśnie tam tuż przed wybuchem wojny znalazł się pradziadek, wraz z baonem Korpusu Ochrony Pogranicza, którego był żołnierzem w stopniu szeregowca. Można przypuszczać, że zdjęcie zostało wykonane wiosną lub latem 1939 r., tuż przed wybuchem wojny. Babcia powiedziała mi, że zdjęcie pradziadka z 1939 r. miało specjalne miejsce w sercu prababci i było piękną pamiątką, jedyną tego rodzaju z okresu międzywojennego i wojny po mężu, którego tak kochała. Obecnie przechowuje je moja babcia. W przyszłości, to ja zachowam dla kolejnych pokoleń naszej rodziny tę bezcenną dla nas pamiątkę.

Życie pradziadka przed wojną

Mój pradziadek Władysław Witkowski przyszedł na świat 20 kwietnia 1915 r. w Smykowie – małej wsi pod Kielcami. Od najmłodszych lat pomagał w gospodarstwie swojego ojca Tomasza. Gdy był jeszcze mały stracił matkę, a ojciec ponownie się ożenił. Gdy żył na Kielecczyźnie poznał swoją przyszłą żonę Helenę. Jak dowiadujemy się z jego książeczki wojskowej, 3 marca 1938 r. został wcielony do 4 Pułku Piechoty Legionów. Stacjonował on w garnizonie w Kielcach, który podlegał pod okręg korpusu nr X z siedzibą w Przemyślu. Później do okręgu generalnego „Kielce” i wchodził w skład 2 Dywizji Piechoty Legionów. Za zasługi dla miasta, w 1928 r. pułk otrzymał honorowe obywatelstwo Kielc. Dzień po wstąpieniu do pułku Władysław został przydzielony do 5 Kompanii Strzeleckiej jako strzelec. Przed wojną żołnierze wsparli jednostkę tranzytową na Westerplatte oraz tworzyli na Helu Baon Korpusu Ochrony Pogranicza, do którego właśnie trafił nasz bohater.

Wojenne losy pradziadka

Jak pisze Robert Piasecki w opracowaniu Hel 1939 – 1945, rejon obrony Półwyspu Helskiego we wrześniu 1939 r. obsadzony został przez kompanię Korpusu Ochrony Pogranicza. Oddziały KOP przysłano na Hel w maju 1939 r. Z batalionu KOP „Sienkiewicz” oraz pułku KOP „Sarny” utworzono batalion noszący nazwę IV/7pp, znany także jako batalion KOP „Hel” pod

dowództwem mjr. Jana Wiśniewskiego. To w tej jednostce służył Władysław Witkowski, o czym świadczy wpis w Zaświadczeniu Tymczasowym No 1223, wydanym przez Komisję Weryfikacyjną Marynarki Wojennej 11 grudnia 1946 r. Znajdujemy w nim informację, że pradziadek walczył w okresie od 1 września do 1 października 1939 r. w Baonie KOP na Helu. Był więc jednym z bohaterskich obrońców Półwyspu w kampanii polskiej w 1939 r.

Niestety pradziadek nie lubił opowiadać o smutnych wrześniowych wydarzeniach. Babcia pamięta, że wspominał, że podczas walk na Helu kule świsnęły koło głowy. Rejon Umocniony Hel był jedną z najdłużej bronionych reduct kampanii wrześniowej. Półwysep bombardowany był od 1 września, aż do kapitulacji 2 października 1939 r. z lądu i morza. 12 września 1939 r. Hel został odizolowany przez Niemców od lądu. Od tego momentu obrońcy walczyli w osamotnieniu, co nie wpływało dobrze na ich morale. Zdarzały się przypadki buntów i porzucania stanowisk przez żołnierzy, którzy nie widzieli sensu dalszej walki. Bunt 12 Kompanii Przeciwdesantowej 29 września 1939 r. w rejonie Jastarni-Bór został skutecznie stłumiony m.in. przez skierowaną tam 11 Kompanię KOP, o czym pisze Mateusz Borowiak w opracowaniu Mała flota bez mitów. Jak widać żołnierze KOP, a wśród nich mój pradziadek, nie poddawali się nawet w najtrudniejszych momentach. Ostatecznie mimo powstrzymania niemieckich ataków, wobec kapitulacji Warszawy i Modlina oraz braku amunicji i żywności obrońcy Helu po decyzji kontradm. Józefa Unruga i komandora Włodzimierza Steyera skapitulowali 2 października 1939 r. Jak napisał w książce Westerplatte – Oksywie – Hel, Piotr Derej – spełnili swój żołnierski obowiązek wzorowo i z honorem, zaświadczone krwawą pieczęcią Rzeczypospolitej polskość Pomorza. Jestem dumny, że jednym z nich był mój pradziadek Władysław Witkowski.

Po kapitulacji pradziadek trafił do obozu dla jeńców wojennych, Stalagu IIC w pobliżu miasta Greifswald w dzisiejszej Meklemburgii. Został oznaczony numerem 17030. Podczas pobytu w obozie jenieckim rozprętała się epidemia tyfusu, którą nasz bohater przeżył bardzo ciężko. Jak wynika ze wspomnień jeńcy byli poukładani na pryzkach „jak sardynki w puszcze”. Gdy inni więźniowie wychodzili do pracy przewracali kolegów z boku na bok. Kiedy szło się po baraku zawsze trafiało się nogą na nogę lub na rękę współwięźnia. Władysław Witkowski po wojnie wspominał o bardzo dziwnej metodzie leczenia epidemii przez Niemców. Chorego zamykano w beczce, z której wystawała tylko głowa i włączali do niej ciepłe powietrze, by wypocić chorobę. Po zwolnieniu z obozu jenieckiego 30 października 1939 r. powrócił w rodzinne strony na Kielec-czynę. Jak czytamy z notatek spisanych na podstawie relacji pradziadka przez

jego żonę, w 1941 r. został wywieziony na roboty przymusowe do Mannhagen w dzisiejszej Meklemburgii i zmuszony do pracy w dużym majątku u bauera Mele. Jak później wspominał dzięki temu człowiekowi przeżył. Niemiec okazał swoją dobroć i współczucie dając mu jedzenie i dobrze go traktując.

Po wojnie na Pomorzu Zachodnim

Jak dowiadujemy się dalej ze spisanej przez prababcie relacji pradziadka: Front zastał go na terenie gminy Grimmen, gdzie powracając z niewoli w maju 1945 r. znalazłem się na terenie gminy Choszczno i zostałem skierowany do Żandarmerii Wojskowej Polowej w Gleźnie. Dziadek zdecydował o pozostaniu na Pomorzu Zachodnim, bo było tam dużo ziemi i gospodarstwa do wzięcia, a w rodzinnej Kielecczyźnie panowało przeludnienie i głód ziemi pod uprawę. Zamęcin tworzy trójkąt na mapie z Choszcznem i Gleznom, a wszystkie te miejscowości są od siebie oddalone o około 5 kilometrów. Przydział, jaki wydano dziadkowi obejmował pilnowanie ponemieckiej gorzelni w miejscowości Gleźno. Pracował w żandarmerii do 1 listopada 1945 r. W tej miejscowości pradziadek zamieszkał. Po jakimś czasie do swojego nowego domu ściągnął przyszlą żonę Helenę. Przed tym, jak opowiem o historii związanej ze ślubem, jeszcze natknąłem się na historię, której nie mógłbym pominąć. Otóż podczas pilnowania gorzelni, opanowanej przez Rosjan, którzy uwięzili tam jako jeńców kilkoro ludzi z niemieckiej lokalnej ludności, tylko dziadek, mając przykre doświadczenia obozowe donosił im od czasu do czasu jedzenie. Trzymani oni byli najpierw w kurniku potem w podziemiach gorzelni. Sowieci po jakimś czasie zaczęli zabijać tych ludzi. Jeden z Niemców ukrył się przed nimi w oborniku. Wiedząc o tym Rosjanie zaczęli dźgać w obornik widłami. Niemiecki jeńiec ukrył się w nim tak głęboko, że na szczęście nie doznał znacznych obrażeń. Pewnego dnia, długo po wojnie przybył on do Gleźna i zaczął wypytywać mieszkańców właśnie o dziadka. Gdy go spotkał, jak to określiła babcia „nosił go na rękach”, jako człowieka, który uratował mu życie. O pracy dla Rosjan świadczy wydane pradziadkowi zaświadczenie dotyczące tego faktu.

Powróćmy do ślubu. Para narzeczonych wybrała się w wyprawę do rodzinnych stron. Wzięli tam ślub 20 marca 1946 r. w Bielinach. Po ślubie osiedli na „Ziemiach odzyskanych”. Mieli czwórkę dzieci, w tym właśnie moją babcie Danusie. Po wojnie pradziadek zajął się rolnictwem. Władysław Witkowski był zapraszany do szkoły podstawowej w Zamęcinie, by opowiadać o wojennych losach. Babcia podkreśla, że dziadek miał naturę żartownisia, zawsze podkreślał walczyłem na Helu i wziąłem Helenę za żonę. Zmarł 24 lipca 1988 r.

Podsumowanie

Moja prababcia, Helena Witkowska po śmierci męża zaczęła zbierać wszystkie jego notatki i dokumenty. To dzięki niej posiadam dokumentację na temat mojego pradziadka. Mój dziadek Edward, zięć naszego bohatera często przebywał w domu babci, więc dysponował również przydatnymi informacjami. Wiele faktów dostarczył mi mój wujek Arek, który również interesował się historią pradziadka.

Mój Pradziadek jest dla mnie bohaterem i wzorem do naśladowania. Niestety dziś mogę go tylko sobie wyobrazić na podstawie pamiątkowej fotografii z 1939 r. Władysław Witkowski odkąd pamiętam był dla mnie przykładem, więc gdy przyszła pora na wybór szkoły średniej poszedłem do klasy wojskowej. Chcę tak jak pradziadek służyć w wojsku, i tak jak on, w razie potrzeby gotów jestem bronić Ojczyzny. Bohaterstwo pradziadka – obrońcy Półwyspu Helskiego, jest dla mnie prawdziwym powodem do dumy i motywacją do zgłębiania nie tylko jego historii, ale też historii obrony Rejonu Umocnionego Hel, kampanii wrześniowej i drugiej wojny światowej.



Książeczka wojskowa
Władysława Witkowskiego



Zaświadczenie tymczasowe Komisji Weryfikacyjnej Marynarki Wojennej z 11.12.1946 r.



Zaświadczenie ZBoWiD z dnia 1.03.1976 r., poświadczające walkę Władysława Witkowskiego w kampanii wrześniowej i pobyt w obozie jenieckim



Zaświadczenie rosyjskie o służbie w żandarmerii w Gleźnie z 11.08.1945 r.

Jagoda Kozłowska

XVIII Liceum Ogólnokształcące im. Józefa Wybickiego w Szczecinie

Wojenne koleje losu Franciszka Żarskiego

Pamiętki rodzinne stanowią ważne świadectwo historii. Często nawet niepozornie wyglądająca fotografia lub odznaczenie kryje wiele tajemnic i może być cenną wskazówką, przy próbie odtworzenia życiorysu danej osoby. Przekonałam się o tym, gdy zainteresowałam się dziejami mojego pradziadka w czasie drugiej wojny światowej. Jego legenda, żołnierza Andersa spod Monte Cassino, była obecna w rodzinie od kiedy pamiętam. Już jako mała dziewczynka oglądałam jego dwa zachowane odznaczenia i książeczki wojskowe, jednak jego dokładne poczynania podczas wojny zawsze były dla mnie dosyć mgliste, podobnie dla reszty członków mojej rodziny. Pradziadek za życia niechętnie wspominał wojenne czasy, a w pędzie codziennego życia moim rodzicom trudno było znaleźć czas, by dowiedzieć się więcej na temat jego przeszłości. Dlatego pod koniec wakacji 2022 roku postanowiłam znaleźć sobie jakieś zajęcie i w ręce wpadły mi odznaczenia, fotografie i książeczki wojskowe należące do Franciszka Żarskiego. Początkowo patrząc na nie, trudno mi było odnaleźć na nich coś, co przybliżyłoby mi losy dziadka. Jednak w miarę poszukiwań okazało się, że to, co było dla mnie niewiele mówiącymi zdjęciami i dokumentami, w istocie są śladami przeszłości, które po wielu minionych latach znów potrafią przywrócić do życia dawne dzieje, jeśli tylko poświęci im się wystarczająco dużo uwagi.

Wśród wszystkich pamiętek największą rolę odegrała dla mnie jedna, bardzo zniszczona mała fotografia, która nie tylko stała się podstawą odtworzenia jego szlaku bojowego, ale także skłoniła mnie do zgłębienia dziejów formacji, do której należał.

Fotografia ta przedstawia mojego pradziadka, stojącego na samochodzie pancernym, razem z kilkorgiem członków z jego załogi. Jest to amerykański wóz typu Staghound, używany przez armię brytyjską w czasie drugiej wojny światowej. Gdy jeszcze nie był mi znany typ tego wozu, próbowałam ustalić go za pomocą PRL-owskiej książki traktującej o uzbrojeniu i umundurowaniu polskich żołnierzy w czasie II wojny światowej, którą zakupiłam w antykwariacie. Okazało się, że mój tata posiadał kiedyś taką samą książkę i pewnego razu pokazał ją pradziadkowi i ten wskazał na obrazek przedstawiający właśnie „Ogara”. Na fotografii wóz jest widoczny od tyłu, przez co nie ma widocznych na nim żadnych charakterystycznych oznakowań, a jedyny element, który umożliwiłaby



Franciszek Żarski, zdjęcie ze Staghoundem „Dzielny”

jego identyfikację, namalowana na wieżyczce nazwa, została zasłonięta przez plecy dziadka, przez co widoczne są jedynie dwie litery: „EL”. Z początku nie sądziłam, by fotografia mogła przysłużyć mi się do zdobycia jakichś bardziej szczegółowych informacji, nie doceniałam jednak możliwości znawców tematu z mediów społecznościowych. Odnalazłam na Facebooku grupę poświęconą 2 Korpusowi Polskiemu, na której ludzie z niemal całego świata publikują zdjęcia swoich przodków, służących podczas drugiej wojny światowej w Polskich Siłach Zbrojnych na Wschodzie. Również zamieściłam tam zdjęcia odznaczeń Franciszka, jego książeczek wojskowych i zdjęć w mundurze, włączając w to oczywiście wspomnianą fotografię. Członkowie grupy udzielili mi mnóstwa nieocenionych wskazówek, jednak najbardziej wdzięczna jestem znawcy, który na podstawie tych dwóch, mało widocznych literek, ustalił nazwę namalowaną na Staghoundzie, a następnie na tej podstawie formację, do której przynależał, a nawet wysłał mi kilka innych zdjęć, które przedstawiały ten wóz. Dzięki charakterystycznie obniżonej belce w literze „E”, wóz Franciszka został rozpoznany jako „Dzielny” z 1 szwadronu 15 Pułku Ułanów Poznańskich. Dzięki tej informacji, posługując się innymi pamiętkami dziadka oraz wieloma książkami, artykułami i wspomnieniami żołnierzy, udało mi się odtworzyć najbardziej prawdopodobne losy dziadka w szeregach 15 pułku, ale zacznijmy od początku.

Franciszek Żarski urodził się 1 listopada 1911 r. w Rawie Ruskiej na terenie zaboru austriackiego, niecałe 65 km od Lwowa. Miejscowość ta weszła po pierwszej wojnie światowej w skład II RP, a od 1945 r. należy do Ukrainy. Jego ojciec był chłopem i miał w posiadaniu gospodarstwo. Tak jak on, dziadek zajmował się pracą na roli i zarabiał na utrzymanie jako parobek. Gdy niemiecka napaść na Polskę stała się faktem, Franciszek udał się do jednostki werbunkowej w swojej miejscowości. Ta jednak, gdy dotarł na miejsce, była już całkiem opustoszała. Dziadek został schwytyany przez Niemców i trafił do stalagu. Stamtąd po pewnym czasie został skierowany do pracy u bauera w Prusach Wschodnich. Jako Polak, Franciszek pracę u Niemca uważał za uwłaczającą, dlatego postanowił zbiec do kraju, o którym w tamtym czasie słyszał, że jest krainą miodem i mlekiem płynącą – do ZSRR. Cichcem wykradł się z gospodarstwa i przeszedł przez zieloną granicę do Rosji. W Związku Radzieckim, prawdopodobnie przez to, że sposób, w jaki pokonał granicę był dość podejrzany, został uznany za szpiega i uwięziony. Z więzienia trafił następnie na nieludzką ziemię – na Syberię, gdzie został umieszczony w łagrze. Tam spędził około półtora roku. Gdy podpisano układ Sikorski – Majski, dziadek był już w na tyle złym stanie zdrowotnym, że znajdował się tzw. słabosiłce, wydziale Trupiarni, do którego trafiali bardzo chorzy lub umierający więźniowie. Mimo to, gdy został zwolniony, zdołał przedostać się do Buzułuka w Nadwożańskim Okręgu Wojskowym, gdzie formowano pierwsze jednostki Armii Polskiej, prawie dokładnie tak samo jak w piosence żołnierskiej śpiewanej w tym okresie: w butach chodzić to nie sztuka, bosom szedł do Buzułuka, byle tylko z wami być. Warunki w polskich obozach wojskowych nie były jednak wiele lepsze niż w sowieckich łagrach. Ochotnicy docierali do miejsca werbunku w łachmanach, niedożywieni i chorzy. Wielu żołnierzy umierało, jednak Franciszek, mimo bardzo złego stanu w momencie trafienia do Buzułuka, przyszedł do zdrowia i trafił w szeregi przyszłej Armii Polskiej. W wyniku pierwszej ewakuacji jednostek polskich do republik azjatyckich trafił prawdopodobnie do Jangi Jul w Uzbekistanie. W tej oto miejscowości rozpoczęła się historia dziadka w szeregach 15 Pułku Ułanów Poznańskich.

W Jangi Jul, cztery miesiące przed kolejną ewakuacją do Persji, Zbigniew Kiedacz, dawny kawalerzysta, który zginął tragicznie pod koniec kampanii we Włoszech, zaczął formować Batalion „S”, jednostkę młodych żołnierzy różnych rodzajów broni, specjalnie dobranych za zgodą Andersa. Z nich, po dotarciu do Pahlewi przez Morze Kaspijskie, uformowany został zmechanizowany 15 Pułk Ułanów Poznańskich, kontynuator historycznego pułku, do którego należeli zarówno Kiedacz, jak i Anders. Dlatego też zmechanizowany 15 pułk nazywany był „ułanami Andersa”.

Większość żołnierzy, z moim dziadkiem włącznie, nie posiadała prawa jazdy, dlatego, by sprawdzić się w roli kawalerii zmechanizowanej, musieli przejść gruntowne, wymagające i ciężkie przeszkolenie. Wyrwani z mrozów Syberii żołnierze musieli teraz znosić upały sięgające nawet 60 stopni Celsjusza, przez co zajęcia odbywały się głównie rankiem i nocą, gdy następowało ochłodzenie. Ułani ćwiczyli na amerykańskich samochodach opancerzonych Staghound Mk I, zwanych Ogarami, które Franciszek chwalił jako wyjątkowo niezawodne „czołgi na kołach”. Każdy ze Staghoundów miał swoje imię, nadawane mu przez załogę. Wóz, którego dziadek został kierowcą, otrzymał nazwę „Dzielny”.

Jedną z opowieści dziadka, która przetrwała w naszej rodzinie jest to, gdy generał Sikorski odwiedził jednostki polskie ostatni raz, tuż przed katastrofą w Gibraltarze, podczas przeprowadzania inspekcji żołnierzy Andersa i rozmów z wieloma żołnierzami, osobiście miał zapewnić Franciszka, iż wojna niedługo skończy się dla żołnierzy takich, jak on. Warto też wspomnieć o tym, że do przywitania Naczelnego Wodza na lotnisku w Kirkuku został wtedy wyznaczony szwadron honorowy z żołnierzy właśnie 15 Pułku. O szwadronie tym miał powiedzieć Sikorski do Kiedacza: Proszę podziękować swoim żołnierzom, którzy maszerują jak gwardia, jestem pewien, że bić się będą także jak gwardia.

Franciszka czekała jeszcze długa podróż przez Irak, Palestynę i Egipt, skąd, z Port Said, przyplłynął do Włoch w Tarenzie. Do bitwy o Monte Cassino 15 Pułk Ułanów przystąpił jako batalion piechoty wysokogórskiej. Szwadronowi dziadka dostało się wyjątkowo trudne zadanie polegające na wykonaniu pozorowanych natarć w pobliżu Pizzo Corno, mające odwrócić uwagę nieprzyjaciela od pozostałych jednostek 5 Dywizji, próbującej w tym czasie opanować kompleks wzgórz San Angelo, zwanego „aniołem śmierci”, poprzez ściągnięcie na siebie większości ognia. Walki te były niezwykle trudne. By dostać się na początkowe pozycje, żołnierze musieli przebyć przez rozległą dolinę, gdzie byli wystawieni na działanie wzmożonego ognia nieprzyjaciela – w ciągu dnia wystrzelivano ok. 800 pocisków artyleryjskich i moździerzowych. Ze względu na działanie w trudnym rejonie górskim, zapasy amunicji, żywności, wody i lekarstw mogły odbywać się jedynie za pośrednictwem mułów. Ułani przez kilka tygodni nie myli się ani nie jedli ciepłych posiłków. By nie ściągać na siebie uwagi przeciwnika, zakazane było palenie ognisk, a w czasie nocnych walk, sanitariusze musieli opatrywać rannych i przeprowadzać operacje w zupełnej ciemności. Żołnierze po kolei musieli zdobywać niemieckie bunkry, często podchodząc tuż pod nie i wrzucając do środka przez otwór w strzelnicy granat. Bywały również przypadki, gdy w obliczu braku amunicji, siedzący w bunkrach

Niemcy byli dosłownie kamieniowani na śmierć przez żołnierzy 2 Korpusu. Były to więc bardzo krwawe i ciężkie starcia. Według opowieści dziadka, o życiu lub śmierci decydowało wtedy jedynie szczęście. Franciszek widział obok siebie swoich towarzyszy, którzy padali od niemieckich kul i słyszał świst pocisków, przelatujących tuż obok jego głowy, jednak mimo to szedł dalej nietrafiony.

Za udział w bitwie pod Monte Cassino dziadek otrzymał Pamiętkowy Krzyż Monte Cassino – odznaczenie przysługujące każdemu żołnierzowi 2 Korpusu, który uczestniczył w tamtych walkach. Każdy z krzyży posiada unikatowy numer, dzięki któremu dziś można zidentyfikować posiadacza takiego, gdyż ich spis, wraz z nazwiskami i stopniami żołnierzy, znajduje się na stronie internetowej poświęconej temu odznaczeniu. Będąc w posiadaniu krzyża Monte Cassino mojego dziadka, o numerze 733, dzięki tej stronie byłam w stanie zweryfikować stopień, jaki figurował w książeczce wojskowej.

Po najsłynniejszej bitwie kampanii włoskiej dziadek brał jeszcze udział w różnych starciach we Włoszech, z czego jedno z nich związane jest z innym, bardzo ciekawym odznaczeniem dziadka, celuloidową Tarczą Krzyżowców. W okolicach bitwy o Anconę, w Castelfidardo, znajdowała się słynna na cały świat fabryka akordeonów Paolo Sopranego. Została ona zrujnowana przez czołgi Pułku Ułanów Karpackich podczas walki z ukrywającymi się w niej Niemcami. Po opanowaniu miasta przez 2 Korpus, cierpiący wtedy biedę Włosi zaczęli wytwarzać w małych rodzinnych zakładach polskie odznaczenia z tworzywa sztucznego, służącego do pokrywania obudowy akordeonów. Te następnie wymieniali z wojskiem na żywność, papierosy i inne produkty spożywcze. Powstawały zresztą nie tylko odznaczenia, ale także pamiątkowe papierośnice ze znakami rozpoznawczymi jednostek polskich. Co interesujące, nie są znane przypadki wytwarzania przez nich odznaczeń innych narodowości. Polacy zresztą nie korzystali tylko z tych produktów fabryki, bo w akordeony Sopranego była wyposażona wojskowa czołówka teatralna Lwowska Fała. To ona po zwycięskiej bitwie o Anconę występowała przed królem Jerzym VI, przybyłym specjalnie na tę okazję. Piosenka „Tylko we Lwowie” spodobała mu się wtedy tak bardzo, że generał Anders wysłał mu potem jej zapis fonetyczny po angielsku.

Kolejne losy dziadka na obczyźnie są bardzo niejasne. Po spędzeniu świąt Bożego Narodzenia w Civitella di Romagna, 15 Pułk został włączony do 14 Wielkopolskiej Brygady Pancерnej, gdzie ułani przesiedli się z „Ogarów” na czołgi. Niestety nie są mi znane żadne opowieści dziadka, które mogłyby być wskazówką co do tego, jaką rolę pełnił w tej jednostce, lub czy w ogóle w niej był. Bardzo prawdopodobne, iż mógł zostać przydzielony do formacji zwanej Batalionem Wartowniczym lub Kompanią Ochrony Sztabu, na co wskazują

charakterystyczne zielono-żółte proporczyki z granatową żyłką i wizerunkiem syrenki warszawskiej na jego kołnierzu i berecie, które widać na kilku jego fotografiach. Niestety, mimo długich poszukiwań nie udało mi się znaleźć żadnych informacji na temat tego, czym zajmowała się ta jednostka, ani w jakim okresie istniała. Jej nazwa każe mi jedynie przypuszczać, iż zajmowała się ochroną dowódców i członków sztabu, na co również wskazywałyby opowieści dziadka, według których był „ochroniarzem Andersa”. Trudno jest mi jednak to w jakikolwiek sposób zweryfikować.

Wkrótce po zakończeniu działań we Włoszech żołnierze 2 Korpusu zostali przeniesieni do Anglii. Powrót do Polski, będącej w strefach wpływów sowieckich, dla żołnierza Andersa był wtedy obarczony dużym ryzykiem i większość decydowała się zostać w Wielkiej Brytanii. Dlatego dziś żyje tam bardzo dużo potomków weteranów 2 Korpusu, mówiących po angielsku, ale posiadających polskie nazwiska i pielęgnujących swoje polskie korzenie. Dziadek należał do tych, którzy zdecydowali się na powrót do Polski. Kresowiak Franciszek, mieszkający w Rawie Ruskiej na wschodzie Polski, przeżył podróż przez nieistniejące zaledwie 6 lat później Prusy Wschodnie, ZSRR, Uzbekistan, Bliski Wschód, Egipt, Włochy i Anglię, Morze Kaspijskie, Śródziemne, Bałtyckie i Ocean Atlantyczny po to, by wylądować na najbardziej wysuniętym na północny zachód rejonie nowego Państwa Polskiego, wcześniej do niego nienależącego, podczas gdy jego rodzinna miejscowość była już w posiadaniu innego kraju. Poślubił Mariannę Podolszyńską zwaną Zosią, sanitariuszkę w trakcie wojny, i razem z nią zamieszkał w domu w rejonie Jeziora Głębokiego. Swoje dokumenty i zdjęcia z wojska zakopał w ogrodzie na głębokości 3 m. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych, podczas naprawy rur kanalizacyjnych, moi rodzice wykopali starą, zniszczoną teczkę, w której się one znajdowały. Dziadek nie wyszedł po wojnie z roli ułana i jako kawalerzysta zmotoryzowany pełnił zawód szofera – mimo niezbyt dobrej znajomości czytania, z pomocą swojej żony udało mu się wyrobić prawo jazdy. Jako pamiętka po wojennych przeżyciach została mu jego łysina, której najprawdopodobniej dorobił się nosząc beret, wcześniej ubrudzony benzyną i smarami po wycieraniu nim „Dzielnego”. Do końca życia pozostała mu także ułańska fantazja i żołnierskie szczęście.

A jakie były losy towarzysza wojennych dziejów dziadka, „Dzielnego”? Niestety najprawdopodobniej niezbyt wesołe. Podobnie, jak inny sprzęt wyprodukowany na potrzeby brytyjskiej armii, wóz Franciszka najpewniej spotkał smutny los. Otóż produkowany podczas wojny przez prywatne zakłady, kupowany był na mocy kontraktów, dzięki czemu był on o wiele tańszy, jednak warunkiem było zniszczenie go zaraz po zakończeniu działań wojennych. I mimo,

iz wydawałoby się to absurdalne, było to bardziej korzystne dla armii, gdyż jego transport do Anglii byłby niezwykle kosztowny, a po kilku latach stałby się i tak przestarzały. Dlatego przecinano lufy armat wozów, pod sprawnymi radio-stacjami odpalano miny, rozbijano młotami szwajcarskie zegarki, wybijano soczewki w lunetach artyleryjskich. Następnie złom sprzedawany był miejscowym Włochom. Wielu żołnierzy, emocjonalnie związanych ze swoim sprzętem, nie potrafiło zrozumieć takiego postępowania i podczas ostatniego pożegnania ze swoimi maszynami nie potrafiło powstrzymać łez. Niestety nic nie wskazuje na to, by „Dzielny” mógł spotkać inny los, jednakże jego historia nie zakończyła się w tym miejscu. Otóż przypadek sprawił, iż wcześniej podczas przekazania wozów 15 pułku do 25 Pułku Ułanów Wielkopolskich w Porto San Giorgio w 1946 r., został on obficie obfotografowany. Dzięki temu stał się jednym z bardziej znanych wozów 2 Korpusu, a nawet dorobił się kilku modeli, w tym nawet jednego z klocków Cobi. Szukając informacji na temat tego wozu trafiłam nawet na osobę, która pochwaliła się, że wiele lat temu sklejała taki model. Obecnie nie jest on już szeroko dostępny, ale mimo to udało mi się zdobyć jeden, który skleiałam około roku temu. Także „Dzielny” żyje, może w trochę zmienionej formie, gorzej opancerzonej, bo papierowej, i zdecydowanie mniejszej, ale żyje.

Wiem, że zadaniem tej pracy było opisanie jednej pamiętka rodzinnej, dlatego wybrałam fotografię „Dzielnego”, jako tę najistotniejszą, bo to dzięki niej udało się ustalić jego przynależność do 15 Pułku Ułanów Poznańskich, bez czego odtworzenie historii pradziadka nie byłoby możliwe w tak dokładnym stopniu. Nie sposób jednak byłoby nie wspomnieć o kilku innych pamiętkach z nim związanych, gdyż za ich pomocą udało mi się poznać wiele innych, istotnych informacji, będących integralną częścią jego dziejów w Pułku.

Zajmując się losami dziadka, zafascynowało mnie to, w jakim stopniu tak drobne szczegóły jak element umundurowania na fotografii, materiał, z jakiego zostało wykonane odznaczenie lub nazwa pojazdu może mieć tak istotne znaczenie w ustalaniu losów danego człowieka. Coś, co wydawałoby się bagatelą, co bardzo łatwo przeoczyć, jest świadectwem tych dziejów, decydującym o tym, że osoba ta znajdowała się tam, a nie gdzie indziej, dzięki czemu dziś, po tylu latach, można poznać jej historię. Skłoniło mnie to do próby skompletowania odznaczeń pradziadka Franciszka, gdyż miałam tylko dwa z nich – Krzyż Monte Cassino i Tarczę Krzyżowców. Reszta z nich była rozsiana po rodzinie, a z kilkoma dziadek został pochowany. Naszywki „Poland” i z syrenką 2 Korpusu uszyłam po amatorsku sama, udało mi się też zdobyć replikę odznaki pamiętkowej 15 Pułku Ułanów i proporczyków na kołnierz w biało-czerwonych bar-

wach pułku. Wiele w tym miejscu zawdzięczam mojemu nauczycielowi historii, panu Cezaremu Jankowskiemu, który po tym, jak opowiedziałam mu historię pradziadka i pokazałam jego fotografię z lat 80., na której ma wszystkie swoje medale, sprezentował mi niemal wszystkie te, których mi brakowało, razem z gablotką, w której je umieściłam.

Poszukiwania te były dla mnie bardzo pasjonujące. Odnajdywanie informacji, które mogłyby mi przybliżyć choć trochę z początku tak niejasne losy pradziadka pochłoneły mnie całkowicie i skłoniły do zapoznania się z wieloma ciekawymi książkami, wspomnieniami, artykułami, zdjęciami i filmami związanymi z tym tematem. Z początku miałam wątpliwości, czy zajmowanie się tym ma sens, bo w końcu czy historia człowieka, którego nawet nie znałam osobiście, może w jakikolwiek sposób wpłynąć na moje życie? Jednak dzięki podjęciu się tego zadania zdecydowanie lepiej zaczęłam rozumieć, jak ogromny wpływ ma historia na nasze współczesne położenie, gdyż dane było mi ją poznać z bardziej osobistej perspektywy, patrząc przez pryzmat tego, iż gdyby losy mojego przodka potoczyły się nawet odrobinę inaczej, dziś mogłabym znajdować się zupełnie gdzie indziej, lub w ogóle mogłabym się nigdy nie urodzić. Wystarczyłoby, by tor kuli wystrzelonej w kierunku Franciszka, przebiegał dosłownie kilka centymetrów bliżej, by dosięgnąć dziadka, że wyszedłby ze słabosiłki o kilka dni za późno, lub że podjąłby decyzję, by nie wracać do Polski. To znów z kolei pokazuje, że zarówno w historii, jak i w życiu człowieka często decydującą i najbardziej istotną rolę pełnią drobne szczegóły i zbiegi okoliczności, których często nie zauważamy, i do których być może powinniśmy przykładać większą uwagę.

Moje próby odtworzenia losów dziadka skłoniły mnie też do zastanowienia się nad istnieniem pewnego rodzaju przeznaczenia, ponieważ krótko przed zainteresowaniem się tym tematem i wtedy, gdy już zaczęłam go zgłębiać, jeszcze nie wiedząc, w jakiej jednostce dziadek służył, dziwnym zbiegiem okoliczności zaczęły do mnie trafiać rzeczy związane z 15 Pułkiem Ułanów, a mianowicie książka o jeździe wielkopolskiej, którą się głównie posługiwałam przy odtwarzaniu losów Franciszka, oraz medal pamiątkowy wykonany z okazji ponownego odsłonięcia wcześniej zniszczonego pomnika 15 Pułku. Wymienił się na niego jeszcze w dzieciństwie mój tata i medal ten wędrował jeszcze blisko 30 lat, zanim trafił do mnie. Nie jest to co prawda rzadko spotykana ani szczególnie cenna pamiątka, jednak sam fakt, że jest związana z 15 Pułkiem ma dla mnie dużą wartość. Być może było to przeznaczenie, lub po prostu tak, jak u mojego dziadka, odgrywał tutaj rolę czysty przypadek i szczęście.

Maria Arsoba

Szkoła Podstawowa nr 6 im. Zdobywców Wału Pomorskiego w Szczecinku

Drogi Pamiętniku... – dziękuję!

Tak jak mam to w zwyczaju, po szkole wybrałam się w odwiedzinę do babci. Lubimy razem spędzać czas i rozmawiać na różne tematy. Wspominamy, żartujemy, wymieniamy się przepisami i recenzjami przeczytanych książek. Była godzina 17.00, a więc idealna pora na dobrą herbatę w pięknej, stuletniej porcelanowej zastawie, która miała za sobą kawał dobrej, ale też i trudnej historii.

Zadzwoniłam do mieszkania. Chwilę poczekałam, tym samym dając babci czas na dojdęcie do drzwi, ponieważ dom jest duży i prawdopodobnie zalewała ona dla nas wspomnianą wcześniej herbatkę. Minęła minuta, a ja wciąż nie słyszałam dźwięku przekręcania zamka. Zadzwoniłam po raz drugi. Zajrzałam przez okno, ale nadal nikt nie otwierał.

Może coś się stało. - Głośno pomyślałam i przeszukałam swój plecak szkolny, by wyjąć z niego zapasowe klucze, na takie właśnie wypadki. Otworzyłam dom i po chwili byłam w środku.

- Halo, babciu! Już przyszedłam! - mówiłam dość głośno, rozglądając się po pokojach. Babci Basi wciąż nigdzie nie było. Kiedy przekroczyłam próg salonu, ujrzałam na stole otwartą książkę pt. Pasje Przyrodnika – wspomnienia Józefa Pozorskiego. Okładka była kremowa i widniała na niej duże zdjęcie mojego pradziadka w zielonym mundurze i ze strzelbą w dłoni. Sama książka miała już sporo zagięć, co spowodowane było zapewne jej częstym czytaniem, brzegi kartek lekko zszarzały. Zawierała ona zebrane i zredagowane przez Barbarę Arsobę – moją babcię, wszystkie wspomnienia o jej tacie, a moim pradziadku, które udało się do dzisiaj zachować. Studiowałam tę książkę kilka razy, więc nie przykuła ona na długo mojej uwagi. Czytałam głównie informacje dotyczące II wojny światowej, więc o samym pradziadku nie wiedziałam zbyt wiele. Chwilę później spojrzałam na leżący obok na stole fioletowy zeszytik z pozółkłymi kartkami. Również był bardzo zniszczony. Obok brulionu leżała pocztówka z dedykacją dla córki Basi. Domyśliłam się, że pisał ją pradziadek.

Odsunęłam krzesło od stołu, aby móc na nim usiąść i wzięłam z dużą ostrożnością do ręki pocztówkę, aby dokładniej się jej przyjrzeć. Na okładce była malutka dziewczynka ubrana w sukienkę i trzymała w ręku kwiaty polne. Na drugiej stronie znajdował się tekst: Moja kochana córeczko! Przesyłam

Tobie obrazek małej dziewczynki takiej dużej jak Ty. Bądź zawsze grzeczna i ukochaj mocno mamusię i módl się by tatuś wrócił wnet do domu z wojny. Całuję twoją kochaną główkę. Twój tatuś Józef. 9 X 1944. Nigdy wcześniej nie widziałam tej pocztówki. Była z czasów II wojny światowej, gdy to pradziadek był w szkockim mieście Forres w Wojsku Polskim. Później przewieziony został do Edynburga. W tym czasie mój pradziadek wysyłał listy do swojej żony Janiny i pocztówki do dwuletniej córeczki Basi adresowane do Tucholi na ulicę Krzywą 5. Wtedy nie wiedział jeszcze, kiedy wróci do domu, kiedy znów przywita się z rodziną, kiedy będzie mógł ponownie spojrzeć na ich twarze i się do nich przytulić. Nie miał z nimi kontaktu, a pierwszy list od Janiny dostał dopiero 17 września w 1945 roku. Nie wiedział wcześniej, co u nich i czy hitlerowcy ich nie zamordowali. Dlatego też, gdy tylko polscy żołnierze dostali możliwość powrotu do ojczyzny, pradziadek niezwłocznie się na to zdecydował, mimo iż mógł zostać i otrzymać stopień oficerski. Jego argumentami do powrotu było to, że skończyła się wojna, narody wymęczone wojną będą starały się utrzymać pokój, on jako oficer nie będzie pilnie potrzebny, a do odbudowy zniszczonego kraju, za który walczył, przyda się każdy Polak. Poza tym w domu czekała żona, córka i pozostali bliscy. Józef Pozorski wrócił więc w lutym 1946 roku do Tucholi i zastał tam całe i zdrowe żonę i córkę.

Kilka razy obróciłam jeszcze pocztówkę w rękach upewniając się przy tym, że nic więcej na niej nie ma i odłożyłam ją tam gdzie leżała wcześniej. Teraz do ręki wzięłam fioletowy dzienniczek rozmiaru A5. Na przodzie był sklejonny taśmą klejącą, do tego okładka była szorstka w dotyku, miękka i z łatwością się wyginała. Na niej w ramce był napis: Kl. IIIa, Dziennik, J. Pozorski. Po otwarciu od razu zaczynały się opisy dnia. Pierwszy był z dnia 10 października 1927 roku. Szybko przewróciłam na ostatnią stronę. Oczywiście ostrożnie. Datą kończącą zapiski pamiętnika był dzień 10 czerwca 1928 roku. Był też tam dopisek: Szkoła Wydziałowa w Tucholi. Zapewne tam chodził do szkoły. Dziwi mnie, że chciało mu się notować każdy dzień przez 9 miesięcy, zwłaszcza, że z tego, co widzę, wyglądały podobnie. Każdy rozpoczynał się od zdania: Zdążyłem do szkoły lub Nie zdążyłem do szkoły. Z reguły było napisane, że nic ciekawego w szkole nie zdarzyło się.

- Nie dziwię się. Tam nigdy nic się nie dzieje - znów powiedziałam na głos, lekko unosząc kąciki ust w śmiechu, a potem pomyślałam, że to po nim mój tata ma problem z punktualnością.

Pod koniec dnia było napisane, że po powrocie do domu, odrobił lekcje i dzień się skończył. Wertowałam jeszcze kartki zeszytiku, dopóki nie usłysza-

łam przeraźliwego krzyku mojej babci.

- Rany Boskie! Dzwonście na policję! - krzyczała z korytarza. Właśnie uświadomiłam sobie, że z przerażenia, szukając babci, zapomniałam zamknąć drzwi do mieszkania. Szybko wstałam, aby interweniować i ochronić babcię przed mandatem za nieuzasadnione wezwanie.

- Babciu, spokojnie. To ja, Marysia.

- Słoneczko - podniosła ręce, aby mnie przytulić na przywitanie i odechnęła z ulgą. - Myślałam, że ktoś się włamał - dodała, gdy odwzajemniłam jej uścisk.

- Przepraszam. Dzwoniłam i pukałam, ale nie otwierałaś. Zapomniałaś, że przyjdę dzisiaj?-

- Pamiętałam! Bardzo dobrze! - Babcia w tym momencie szybko weszła do kuchni i wróciła po chwili ze słoikami. - Zeszłam do piwnicy po konfitury, które zrobiłam, bo ostatnio twoim rodzicom smakowały te zrobione z malin.

- O! Mnie też one smakowały. Zjedliśmy cały słoik w dwa dni. Dziękuję. - powiedziałam, i spakowałam słoiki do plecaka. - A, babciu... na stole widziałam taki fioletowy dzienniczek. Co to jest?

- Widzę, że nic się przed tobą nie ukryje. - Zaśmiała się babcia. - Przeglądałam albumy i pamiętki i znalazłam trochę starych rzeczy po moim tacie. To jest właśnie jego. - Babcia popatrzyła w sufit, przywołując sobie wspomnienia. - Był super człowiekiem.

- A opowiesz mi coś o nim i o tym pamiętniku? - zapytałam. - Prooooooszę?

- Chciałam to zrobić za tydzień, jak będziemy razem z twoim rodzeństwem i rodzicami..., no ale dobrze. Idź do salonu, a ja zaraz przyniosę gorącą herbatę - powiedziała, a ja poszłam we wskazane przez nią miejsce. Tym razem usiadłam na sofie. Po pięciu minutach dosiadła się babcia.

- Czytałam już kilka stron. Pradziadek robił strasznie dużo błędów - powiedziałam.

- Był wtedy młodszy od ciebie. Miał 12 lat, a pamiętnik z reguły pisał późnym wieczorem na szybko, bo wcześniej nie miał czasu. Był zawsze bardzo zajęty - wytłumaczyła mi babcia.

- Czym?

- Chodził często do lasu. Bardzo lubił przyrodę. Dlatego też studiował leśnictwo i został leśnikiem.

- Nuda - skomentowałam jednym słowem.

- Jeśli to cię ucieszy, to zastanawiał się nad seminarium duchownym.

- Chciał zostać księdzem?! - powiedziałam z niedowierzaniem, na co babcia pokiwała twierdząco głową. - To leśnictwo jednak nie jest aż takie złe - za-

śmiałam się, a babcia mi zawtórowała.

- Codziennie przed lekcjami chodził na msze święte, a wieczorem na różaniec. I powiem ci, że wcale nie miał blisko do kościoła. Ponad dwa kilometry.

- A właściwie, to czemu zapisywał wszystko w pamiętniku?

- Cóż... - babcia zastanowiła się chwilę - Powiadał, że dzień bez zapisku jest dniem straconym. Sam sobie nakazał, że będzie zawsze zapisywał każdy dzień, ale niestety tylko ten dzienniczek się zachował.

- A kiedy się urodził mój pradziadek?

- 4 marca... W 1915 roku. Gdy przyszedł na świat miał już trzy siostry. Rok po nim urodził się jego brat Leon. Zawsze bawili się razem. Całą rodziną zawsze spędzali czas. Mieli też swoje pole z burakami cukrowymi, na którym zawsze było co robić. Przez to też mój tata miał mniej czasu.

- A czym jeszcze się interesował?

- Lubił muzykę. Potrafił grać na skrzypcach i pianinie, a co roku na pastercie w kościele grał *Wśród nocnej ciszy*.

- Miał sporo talentów. Jak on znajdował na tyle rzeczy czas?

- To nie wszystko - uśmiechnęła się babcia - W późniejszych latach był jeszcze harcerzem, a że od piątej klasy podstawówki musiał jeździć pociągiem do szkoły w Chojnicach, to zabierało mu to kolejne godziny w ciągu dnia.

- A jak wyglądał jego dom rodzinny? - zadałam kolejne pytanie i cierpliwie czekałam aż babcia przypomni sobie tę informację.

- Mieli w domu ogromny ogród i pasiekę. Podczas wojny została zniszczona, ale potem powstała nowa. Dom też mieli całkiem spory. Dookoła rozciągał się piękny zielony las, w którym łatwo było stanąć oko w oko z ogromnym ssakiem.

- Ja bym się bała wchodzić do lasu, jakbym miała spotkać jakieś zwierzę.

- On się nie bał. Zawsze był odważny, a zwierzęta go fascynowały. Zawsze dążył do celu, problemy powierzał Bogu. Podczas wojny kilka razy otarł się o śmierć, ale dzięki opatrności boskiej wrócił z wojny zdrowy. Robił wszystko, aby codziennie zdążyć na mszę świętą.

- Jestem pod wrażeniem, że tak dużo szczegółów pamiętasz o nim. To było prawie sto lat temu.

- Pamiętam tyle, ponieważ zapisywał to w dzienniczku. Mam też dużo informacji z listów, które podczas wojny wysyłał mojej mamie.

- To może... Ja też powinnam zapisywać swoje dni na kartkach papieru?

- A wiesz, że to świetny pomysł? - powiedziała babcia. Zamknęła dzienniczek pradziadka Józefa Pozorskiego i odłożyła na półkę. Ja zaniiosłam puste

filizanki do zlewu i je umyłam.

- Do zobaczenia babciu - powiedziałam, kiedy stałam już w progu, ciepło ubrana i gotowa do wyjścia.

Tego dnia wracałam do domu ze słoikami malinowej konfitury i z myślą, aby jak najszybciej zakupić fioletowy zeszyt. Cieszyłam się, że poznałam dzieciństwo pradziadka. Mogłam śmiało brać z niego przykład. Miał wiele talentów i ich nie marnował. Myślę, że świat byłby pełen wykładowców, filozofów, biznesmenów, artystów i sportowców, gdyby tylko każdy miał w sobie taką determinację do działania i chciał lepszego jutra, tak jak mój pradziadek. Tę wiedzę i motywację do pisania i działania zawdzięczam temu małemu, fioletowemu dziennicznkowi, który sprawił, że mój nieznany pradziadek Józef, stał się mi bardzo bliski, mimo że żył w innych czasach niż ja. Polubiłam tego chłopca, którym był pod koniec lat 20. XX wieku, z szacunkiem myślę o odważnym mężczyźnie, który walczył i gotów był zrezygnować z wygodnego życia w dalekim kraju, aby wrócić do Polski i tu w trudnej rzeczywistości organizować swoje życie. Historie rodzinne opowiedziane mi przez babcię i przeczytane w pamiętniku pradziadka, sprawiły, że jestem dumna z moich korzeni i gotowa poznawać rodzinne historie, aby potem podzielić się nimi z moimi dziećmi. Myślę, że pisanie pamiętnika to świetny sposób na przekazanie przyszłym pokoleniom historii i informacji o osobach, które osobiście nie mogą tego zrobić, bo odeszły. Dzięki swoim zapiskom, Józef Pozorski nadal żyje w naszych sercach i pamięci.



Elżbieta Sidorczuk

Szkoła Podstawowa im. Stefana Żeromskiego w Trzcińsku-Zdroju

Nazywam się Elżbieta Sidorczuk i jestem uczennicą klasy szóstej Szkoły Podstawowej im. Stefana Żeromskiego w Trzcińsku-Zdroju. Udział w konkursie pt. „Znajdź swoją pamiętkę rodzinną i opisz jej historię”, był moim marzeniem już dawno, ciągle jednak brakowało mi odwagi. Myślałam wówczas, że przedmiot, który chcę opisać może wydać się taki zwyczajny, może nawet i śmieszny dla niektórych osób. W tym roku, gdy przeczytałam na stronie Kuratorium Oświaty w Szczecinie informację o kolejnej edycji konkursu pomyślałam sobie: „Ela, zdobądź się wreszcie na odwagę i spróbuj! Warto opisać choć fragment historii twoich przodków...”

Maszyna do szycia prababci Bronisławy

Prababcia Bronisława Daniluk z domu Sobol urodziła się 12 kwietnia 1932 r. w Downarach w powiecie stołpeckim, w województwie nowogrodzkim. Jej rodzice posiadali niewielkie gospodarstwo rolne, trudnili się uprawą ziemi oraz hodowlą kilku krów i trzody chlewnej. Przed wojną wiedli spokojne i w miarę dostatnie życie. Gdy wybuchła wojna, moja prababcia miała siedem lat, a jej starszy brat Witold – jedenaście. Ich ojciec – Jan Sobol, został wysłany na front i poległ w obronie ojczyzny zaraz po wybuchu II Wojny Światowej. Niedługo potem gospodarstwo, które posiadali, zostało brutalnie odebrane przez rosyjskiego okupanta, a oni sami skazani na tułaczkę. Pomieszkowali u swoich krewnych aż do zakończenia wojny. Po jej zakończeniu w 1945 roku, brat mojej babci – Witold przyjechał na ziemię odzyskane, do Kamienia Pomorskiego jako repatriant w poszukiwaniu pracy. Został zatrudniony w Milicji Obywatelskiej, a w niedługim czasie do Witolda dołączyła jego siostra Bronisława z ich matką Stefanią. Przyjechały na Pomorze Zachodnie w poszukiwaniu pracy i miejsca do życia. Zajmowały się wtedy pracą najemną u miejscowych gospodarzy, a po utworzeniu PGR-ów znalazły zatrudnienie w jednym z nich, we wsi Mechowo koło Kamienia Pomorskiego. Tam też otrzymały mieszkanie zakładowe w budynku poniemieckiego pałacu. Obydwie zajmowały się dojeniem i oprząaniem krów. Ciężka to była praca i niezbyt dobrze płatna. Prababcia Bronisława po pracy zajmowała się szyciem oraz szydełkowaniem i robieniem swetrów i skarpet na drutach. Szycia i innych robótek ręcznych uczyła się od swojej mamy. Była zdolna i zaradna a szyciem dorabiała do skrom-

nej pensji, aby wyposażyć mieszkanie, w którym po wprowadzeniu się był tylko stary stół, żelazne łóżko, trzydrzwiowa szafa oraz bieliźniarka. Maszynę do szycia firmy Singer odkupiła od swojej sąsiadki, która znalazła ją na strychu pałacu, w którym zamieszkała. Zapewne maszyna ta należała do jednego z wcześniejszych mieszkańców pałacu, jej pochodzenie nie jest nam dokładnie znane.

Na podstawie numeru seryjnego maszyny do szycia prababci Bronisławy moi rodzice ustalili, że została wyprodukowana między 1905 a 1908 rokiem i jest to klasyk w świecie szycia. Przeszukując zasoby Internetu znalazłam kilka informacji na temat maszyn tej firmy. Zostały one skonstruowane i opatentowane przez Isaaca Singera pod koniec XIX wieku i odznaczały się nietypowym mechanizmem poruszającym za pomocą pedału. Wprawiał on w ruch prostą igłę poruszającą się w pozycji pionowej. Ponadto maszyny tej firmy posiadały stopkę, która przytrzymywała i przesuwiała materiał, co znacznie ułatwiało i przyspieszało pracę.

Pamiętkowa maszyna mojej prababci Bronisławy ma ciężki, żeliwny stelaż, który zapewniał stabilność podczas pracy. Na maszynie widoczne są pięknie zdobione detale z elementami mosiężnymi. Ma ona charakterystyczny czarny kolor ze złotymi zdobieniami. Na głównym korpusie znajduje się logo Singer oraz nazwa modelu. W zestawie z maszyną znajduje się drewniany stolik z szufladką a pod nim metalowy stelaż, na którym również widnieje logo firmy. Na dole stelaża wbudowany jest opisany wcześniej pedał maszyny.

W Mechowie prababcia Bronisława poznała mojego pradziadka Jana Daniluka urodzonego w 1929 roku, który na Pomorze Zachodnie przyjechał z Wólki Plebańskiej z województwa lubelskiego.

W kwietniu 1957 roku Bronisława i Jan pobrali się, a 15 kwietnia 1958 na świat przyszły ich córki – trojaczki: Danuta (moja babcia), Alicja oraz Ewa. Całą wyprawkę dla swoich córeczek prababcia uszyła na maszynie. Cudem zdobyta tetra, płótno i inne tkaniny posłużyły do uszycia pieluszek, kaftaników i wielu niezbędnych ubrań dla trzech córek.

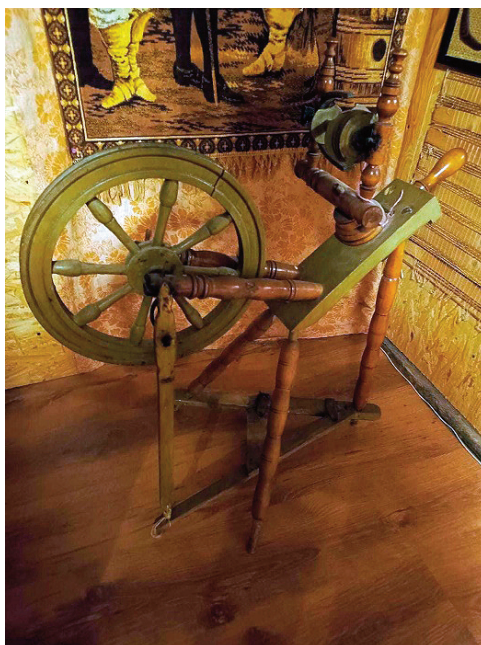
W sklepach trudno było wówczas o zakup gotowej wyprawki, ale prababcia dzielnie sobie z tym poradziła. W styczniu 1959 roku dziewięciomiesięczna wówczas Ewa zachorowała na zapalenie opon mózgowych i po kilku dniach zmarła. Prababcia bardzo przeżyła śmierć ukochanej córki. W 1962 roku na świat przyszła Maria. Prababcia zajmowała się wówczas dziećmi, pracował tylko pradziadek. W tamtym czasie dorabiała do domowego budżetu szyciem i przeróbkami krawieckimi. Często bywało też tak, że pomagała okolicznym sąsiadom nie biorąc od nich pieniędzy, gdyż wiedziała, że nie stać ich

na zapłatę. Była cenioną krawcową - samoukiem, gdyż potrafiła uszyć wiele rzeczy. Dzięki niej jej córki miały modne sukienki, płaszczyki i szkolne fartuszki. Uszyła im sukienki komunijne a w późniejszym czasie studniówkowe stroje i ślubne suknie.

W styczniu 1970 roku na świat przyszedł najmłodszy i długo wyczekiwany syn – Janusz. Moja babcia – Danuta miała wówczas 12 lat i troskliwie opiekowała się wraz z siostrami młodszym bratem.

Prababcia wróciła do pracy w PGR na wcześniej zajmowane stanowisko. Nadal mieszkali w poniemieckim pałacu, zajmowali największe z mieszkań na parterze. Dzieci moich pradziadków podorastały, skończyły szkoły i pozakładały swoje rodziny. Prababcia nadal szyła na swojej maszynie, tym razem już dla swoich wnucząt. Najstarszą wnuczką była moja mama – Monika. Urodziła się 1 września 1979 roku w dniu imienin swojej babci Bronisławy. Na zdjęciach w rodzinnym albumie mojej mamy znajduje się wiele sukienek, spódniczek, kreacji na szkolne bale, które stworzyła moja prababcia. Prababcia uszyła nawet sukienkę komunijną mojej mamie a potem sukienkę na studniówkę.

Z opowiadań mojej mamy oraz babci Danusi wiem także, że moi pradziadkowie hodowali owce. Po ścięciu wełny, prababcia raz w roku jeździła do gręplarni do Białej Podlaskiej w województwie lubelskim, aby przygotować ją



do przędzenia. W długie zimowe wieczory babcia przędła na kołowrotku wełnianą włóczkę, aby następnie robić z niej skarpety, swetry oraz czapki, szaliki i rękawiczki dla całej rodziny. Moja mama mówiła mi, że pachniały one trochę dziwnie i „drapały” ale były bardzo ciepłe.

Moja mama opowiadała mi także, że lubiła bawić się przedmiotami znajdującymi się w szufladkach stolika maszyny do szycia. Było tam mnóstwo kolorowych guzików, naporstków, szpułek nici i innych interesujących przedmiotów. Mamie zdarzało się narobić czasami niezłego bałaganu w tych szufladkach. Babcia czasami nawet złościła się na ten rozgardiasz, ale zawsze wybaczała swojej wnusi – Moniczce. Moja mama wspomina także, że uwielbiała przyglądać się swojej babci Broni, gdy robiła wykroje ubrań, które zamierzała uszyć a potem wyczarowywała z nich przepiękne kreacje. Moja mama nie nauczyła się szyć na maszynie, ale dzięki swojej ukochanej babci Bronisławie potrafi dziergać na drutach i szydełku. To ona cierpliwie ją tego nauczyła, choć jak mówi moja mama, nie było to takie proste. Mama wspomina też, że w dzieciństwie każde ferie i wakacje spędzała właśnie u swojej babci Bronisławy. Bardzo ją kochała i świetnie się tam czuła. Uwielbiała bawić się w niezamieszkałych pomieszczeniach na strychu budynku, w którym mieszkała moja prababcia. Mama mówiła mi, że wakacje u jej babci Broni wiążą się z cudownymi wspomnieniami z dzieciństwa. Wraz ze swoim młodszym kuzynostwem całymi dniami bawili się nad rzeką lub w parku obok pałacu. Mieli swoje domki na drzewie oraz kryjówki tzw. bazy. Do domu przychodzili tylko na posiłki. Mama wspomina, że babcia Bronia była także doskonałą kucharką. Nikt tak jak ona nie potrafił przyrządzić chłodnika litewskiego, racuszków na drożdżach czy naleśników z twarogiem. Często, gdy słucham tych opowieści mojej mamy, wyobrażam sobie jak cudowne miała ona dzieciństwo dzięki mojej prababci.

W 2011 roku urodziłam się ja, byłam pierwszą prawnuczką dziewczynką, przede mną urodzili się Marcel i Tomek – moi kuzynowie. Prababcia była bardzo szczęśliwa, że ma w końcu prawnuczkę. Mama często wspomina, że mówiła na mnie mała Monisia, gdyż przypominałam jej wyglądem moją mamę jak była malutka.

Z uwagi na pogarszający się stan zdrowia oraz problemy ze wzrokiem prababcia Bronisława nie szła już wtedy na maszynie, ale zrobiła mi na drutach czerwoną kamizelkę i czapkę. Mam je do dzisiaj i przechowuję jako najpiękniejszą pamiątkę po mojej prababci.



Kamizelka i czapka zrobione dla mnie przez prababcie Bronisławę

Pamiętką jest także zdjęcie z moimi pradziadkami zrobione w czasie świąt wielkanocnych w 2012 roku. Prababci Bronisławy niestety nie ma już wśród nas. Ja Jej nie pamiętam, gdyż byłam zbyt mała, miałam 15 miesięcy, gdy zmarła w 2012 roku. Znam Ją z opowieści mojej mamy i babci Danusi. Wiem, że była bardzo pracowitą i zaradną kobietą. Opiekuńczą i troskliwą matką i babcią a potem prababcią.

Pamiętka rodzinna, którą opisałam jest dla mojej rodziny nie tylko przedmiotem, ale także źródłem inspiracji. Obecnie znajduje się w domu wujka Łukasza, kuzyna mojej mamy i doczekała się nawet renowacji. Przypomina nam o tradycji, umiejętnościach i wartościach, które były ważne dla naszej rodziny. Jestem dumna, że mogę być częścią tej historii i kontynuować dziedzictwo mojej prababci Bronisławy, ucząc się sztuki szycia.

Kiedy patrzę na pamiętkową maszynę do szycia, czuję się blisko prababci Bronisławy i doceniam wszystko, czego nauczyła się przez całe życie. To pamiętka, która przypomina nam o jej talencie, pasji i miłości do rodziny. Dzięki niej historia prababci Bronisławy będzie żyć w naszych sercach przez wiele lat...



Maszyna do szycia prababci Bronisławy przed renowacją – 2013 r.



Maszyna do szycia prababci Bronisławy po renowacji – 2024 r.

Maria Strumińska

Katolicka Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II w Szczecinie

Moja pamiętka rodzinna – narzuta zrobiona przez praprababcie



Pamiętka rodzinne to rzeczy, które są szczególnie powiązane z naszą rodziną, przekazywane z pokolenia na pokolenie, wzbudzają w nas żywe zainteresowanie i wprawiają w ruch naszą wyobraźnię. Sprawiają, że wszystkie historie opowiedane przez naszych przodków, nabierają nagle przed naszymi oczami wyrazistości i pewnego rodzaju magii.

Każda rodzina posiada zapewne nieco innego rodzaju pamiętka – kosztowności i drogie przedmioty, lecz także rzeczy niewiele warte materialnie. Rzeczy, które są dla nas ważniejsze niż wszystkie drogie dodatki, bo sentymentalne. Tak właśnie jest w mojej rodzinie. Naszą pamiętką rodzinną jest narzuta na łóżko.

Brzmi być może to całkiem zwyczajnie, a jednak jest to narzuta zrobiona prawie 100 lat temu przez moją praprababcię Józefę – wełniana, w intensywne kolorowe pasy i wzory. Niezwykłym jest dla nas fakt, że pomimo upływu lat narzuta nie blednie, ani nie płowieje, tak jakby chciała zostać wśród nas jak najdłużej. Może nie jest ona kosztowną rzeczą, ktoś by powiedział – „zwykła narzuta”, w dodatku „gryząca”, ale dla nas, zwłaszcza dla prababci, jest to cenny skarb.

Moja prababcia – Genowefa Karp z domu Adeszko, urodziła się w 1926 roku. Jest jedną z córek Józefy Adeszko, która urodziła się w 1890 roku i zmarła w 1985 roku w Szczecinie. Mieszkali całą rodziną w Jastrzębnej, czyli wsi położonej w województwie podlaskim, w powiecie augustowskim, niedaleko Biebrzańskiego Parku Narodowego oraz rzeki Biebrza. Mieszkali w drewnianym domku, otoczonym sadem jabłkowym i kwiatami o najróżniejszych kolorach i zapachach. Nieopodal znajdował się lasek sosnowy i polany, na których pasły się krowy. Prababcia Gienia wspomina te lata jako najpiękniejszy okres swojego życia. Siadała wówczas wieczorami ze swoją mamą i często szyły ubrania oraz inne potrzebne rzeczy, niedostępne w sklepach. Tak też powstała narzuta na łóżko, którą praprababcia Józia zrobiła własnoręcznie. Gienia była nią zachwycona, więc jej mama obiecała, że nakrycie w przyszłości trafi do jej gospodarstwa domowego.

Ich rodzinna sielanka jednak nie trwała wiecznie. Wszystkie młodzieńcze plany mojej prababci i spokojna młodość legły w grudniu 1 września 1939 roku. Rankiem obudził wszystkich głośny warkot. Wybiegli zatem pospiesznie przed dom, a spokojny błękit nieba zaburzały toporne, wojskowe samoloty. „Być może to tylko manewry, być może zaraz wszystko wróci do normy...?” – Pocięszali się.

Huk. Kolejny. I kolejny... spadające bomby, początek wojny, początek ogromnego przerażenia i paniki. Bomby spadły na pobliską wieś oraz na pola, na których to już na zawsze zostały ich krowy.

Pod koniec września 1939 roku, Augustów i okoliczne wsie znalazły się pod okupacją radziecką. Po jakimś czasie życie zaczęło wracać nieco do normy, ludzie próbowali żyć codziennością i doceniać ulotne chwile, pomimo niespokojnej sytuacji. Na nowo otworzono okoliczny sklep, wznowiono zajęcia w szkole. Ta udawana i pozorowana przez nich normalność trwała do 22 czerwca 1941 roku, kiedy Rzesza Niemiecka rozpoczęła wojnę przeciwko Związkowi Radzieckiemu i jeszcze tego samego dnia wojska wkroczyły do Jastrzębnej. Babcię Gienię ze snu wyrwał dźwięk wybuchów i warkotu samolotów. Dźwięk, którego przecież tak bardzo się bali. Szkło w oknach zaczęło wibrować, a młoda Gienia bała się, aby nie wypadło to ozdobione kolorowymi mozaikami. Na okolicznej stacji czekali w tym czasie ludzie, oczekujący na wywózkę do ZSRR – wszyscy zostali zastrzeleni przez wojska niemieckie. Była tam jedna rodzina mieszkająca niedaleko

babci, jej znajomi... Wojska w kilka chwil pokazały, jak kruche i ulotne potrafią być nasze życia, zwłaszcza przy dodaniu do nich okrucieństwa i przemocy.

Oddziały niemieckie zatrzymały się następnie we wsi i rozbiły namioty u sąsiada prababci, w sadzie. Część mieszkańców wsi wywieziono na roboty do Rzeszy. We wsi i okolicy panował okropny głód – całą pszenicę trzeba było oddawać Niemcom, aby zabić zwierzę trzeba było mieć pozwolenie. Jeśli ktoś zrobił coś bez zgody komisarza zostawał wywieziony do obozu koncentracyjnego.

Mężczyźni ze wsi spotykali się potajemnie i dzielili wiadomościami, w spotkaniach uczestniczył też mój prapradziadek. Niektórzy mieli pochowane radia i dzięki temu mogli słuchać wiadomości i dowiadywać się o późniejszych klęskach Rzeszy.

Najcięższy moment nadszedł wtedy, kiedy Niemcy przegrywali wojnę i zaczęli się wycofywać. Chcieli wówczas zniszczyć wszystko, co napotykali na swojej drodze. Któregoś dnia prapradziadek przyszedł do domu mówiąc, że usłyszał, że Niemcy podpalają wszystkie wsie i zabijają mieszkańców. Zapanowała ogólna panika. Wszyscy w okolicy zabierali co mieli pod ręką i uciekali do lasu. Jak ciężko zostawić swój cały dobytek i wspomnienia, wszystko to, na co pracowało się całe życie, z jednoczesną perspektywą zbliżającego się niebezpieczeństwa... Prababcia Gienia zabrała narzutę. I odtąd narzuta „podróżowała” wszędzie tam, gdzie babcia. W lesie ukrywali się przez trzy miesiące. Przeżyli dzięki sprzyjającej pogodzie – wszystko to stało się w okresie letnim. W przypadku mrozów, najprawdopodobniej mogliby nie mieć tyle szczęścia. Spali na ziemi, na której układali gałązki z liśćmi, żywili się tym, co znaleźli w lesie. Pod narzutą spali w kilka osób, przytuleni do siebie, aby tylko nawzajem się ogrzać.

Kiedy dowiedzieli się, że sytuacja się uspokoiła, a Niemcy opuścili wieś postanowili wrócić do domu. Nie spodziewali się jednak tego, co zastaną na miejscu... A ich oczom ukazał się straszny widok. Babcia do dzisiaj wspomina ten moment ze łzami w oczach. We wsi nie został żaden dom, wszystkie były spalone, a z ziemi wystawały tylko kominy. I nagle patrzą... a tu z drugiej strony lasu do domu powrócił ich wieprz. Babcia opowiadała, że musiał to być cud, zwierzę tak jakby wyczuło ich obecność i wróciło do utraconego domu.

Nadchodziła mroźna zima i nie mieli już szans, aby wybudować dom, więc zamieszkali w ziemiance. Mieszkali tam w kilka osób, mając tylko jeden siennik, na którym spały 3 osoby z rodziny, młodszy natomiast leżeli na ziemi. Przetrwali jednak to wszystko i wiosną odbudowali dom. Nie mógł się on równać z poprzednim, ale i tak był luksusem w porównaniu do warunków w jakich musieli żyć w ostatnich miesiącach.

W kolejnych latach prababcia Gienia poznała pradiadka Stasia, który

mieszkał w sąsiedniej wsi. W czasie wojny był żołnierzem i walczył w obronie kraju. Był on z bogatej rodziny i rodzice wybrali mu już kandydatkę na żonę, więc żeby być razem, musieli uciekać. Jeszcze przed wyjazdem zdążyli wziąć ślub w Jastrzębnej.

W ten sposób dwa lata po wojnie znaleźli się w Szczecinie. Większość mieszkań była już zajęta, więc zamieszkali na strychu domu w Zdrojach. Babcia najbardziej do dzisiaj pamięta, że było tam strasznie zimno, nie mieli ogrzewania, spali na sienniku, przykryci kołdrą i przywiezioną z Jastrzębnej, babci narzutą. Po jakimś czasie przeprowadzili się do malutkiego mieszkanca (ok. 27-28m²). Mieszkali w nim z trzema synami. Nie było tam łazienki ani miejsca na kuchnię. Kuchnię zrobili w przedpokoju a ubikacja była zbita z desek na dworze. Dziadek zaczął pracować w straży pożarnej a babcia zajmowała się dziećmi i szyła ludziom ubrania. Później także zaczęła pracować w straży, która mieściła się w budynkach nad jeziorem Szmaragdowym (dzisiaj stoją tylko ruiny tych budynków). Pracowała na stołówce dla strażaków.

Kiedy mieli już ciepłe kołdry i piece w domu, prababcia schowała narzutę w szafie i do dzisiaj pozwala wyjąć ją tylko dwa razy w roku, na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Traktuje ją jak największy skarb i wspomnienie domu rodzinnego.

Narzuta pomimo tego, że była używana w trudnych warunkach w lesie, w ziemiance, a później na starym strychu, to do dziś wygląda prawie jak nowa. Kolory nie są wyblaknięte, nie ma żadnych rozerwań ani zniszczeń.

Dzisiaj babcia ma 98 lat i od trzech miesięcy głównie śpi. Mało co pamięta z przeszłości. Historię życia babci pamiętam z jej opowieści. Na każde święta kładła narzutę na łóżko, siadaliśmy na niej a babcia opowiadała co przeżyła. Opowiadając o rodzinnym domu była zarazem rozmarzona wspominając młode lata, jak i bardzo smutna przypominając sobie czas wojny i ciężki okres po niej. Gdy opowiadała wydawało się, że przenosi się myślami w tamte czasy, a łzy płynęły jej po policzkach.

Dokładne szczegóły historii życia babci uzyskałam od mojej mamy i wujów. Jednocześnie bardzo zainteresowałam się historią miejsca, skąd pochodzi moja rodzina. Nigdy tam nie byłam, a więc włączyłam mapę google, chodziłam po ulicach Jastrzębnej i znalazłam miejsce gdzie kiedyś stało gospodarstwo moich prapradziadków, jednocześnie wyobrażając sobie tętniący życiem, drewniany domek z okiennicami. W środku było pewnie słyhać kiedyś śmiech dzieci, w tym mojej prababci Gieni, siedzącej wówczas zapewne na swojej narzucie. Narzucie, która stała się dla niej symbolem utraconego domu, gorączki wojennej, dawnego życia, ale i wolności, czy miłości, którą udało jej się zachować i pielęgnować.

Aleksandra Jarczewska

Szkoła Podstawowa nr 3 im. Polskich Olimpijczyków w Nowogardzie

Wiara, nadzieja i miłość – historia krzyża

*Pozwólmymy sobie na podróż w czasie
poprzez historie naszych bliskich
i bądźmy wdzięczni za to, co po nich pozostało...*

Historia krzyża, o której chcę opowiedzieć związana jest z I i II wojną światową. Ową pamiętką zaczęłam interesować się dwa lata temu podczas wybuchu wojny w Ukrainie. Siedząc w pokoju, przygotowywałam pracę na konkurs plastyczny: „Nowogard – Moje Miasto” i przysłuchiwałam się rozmowie mojej mamy z jej rodzicami. Konkurs ten odbywa się w Szkole Podstawowej nr 3 im. Polskich Olimpijczyków rokrocznie i jest związany z Obchodami Państwowości Polskiej w Nowogardzie, która przypada 5 marca. Wtedy to wojska polsko-radzieckie zajęły niemiecki wówczas Nowogard w marszu na Kołobrzeg. Planując pracę na konkurs w pewnym momencie usłyszałam słowa babci Grażynki: „Mam nadzieję, że my nie doczekamy się czasów, abyśmy musieli uciekać z naszej ukochanej Ojczyzny”. Ziemia pode mną zadrżała, odłożyłam kredki na bok i pobiegłam wtulić się w ramiona mojej mamy. Najbliżsi zapewniali mnie wtedy, że mogę czuć się bezpiecznie i nic mi nie grozi. Kamień spadł mi z serca, bo przecież wtedy miałam dopiero 9 lat i wojna był mi zupełnie obca.

Oglądać wydarzenia wojenne w telewizji to nie to samo, co brać w nich czynny udział. Uciekać, marznąć, głodować i bać się o swoje życie! Sytuacja wojenna wstrząsnęła mocno całą moją rodziną i tak właśnie zaczął się powrót do przeszłości moich bliskich.

Dziadek Eugeniusz opowiedział mi pewną historię przedmiotu, który zawsze stał w honorowym miejscu, a był to krzyż jego dziadków. Opowieść zaczęła się od pieszej pielgrzymki, którą moja praprababcia Katarzyna odbyła wiele lat temu do Częstochowy. Wyprawa ta była dla niej niezwykle ważnym wydarzeniem. Podczas tej duchowej wędrówki, praprababcia dziękowała Bogu za to, że cała jej najbliższa rodzina przeżyła I wojnę światową. Była przerażona tym wszystkim, co się wydarzyło i szukała pomocy u Boga, aby ukoić swój ból i cierpienie. W drodze powrotnej do Jarocin, jej rodzinnego domu, praprababcia kupiła mosiężny krzyż jako pamiątkę z pielgrzymki. Traktowała go jako swoją cenną relikwię.

Krzyż wykonany był z metalu i miał piękne wytłoczone wzory na przedniej i tylnej stronie. Na jego powierzchni można było zobaczyć postać Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego oraz symbole religijne. Wśród nich były: kości do gry, którymi żołnierze grali o szaty Jezusa, kielich symbolizujący męki, młotek i obcęgi służące do ukrzyżowania oraz wieniec przedstawiający koronę cierniową. W dalszej części krzyż ukazywał bicz i rękawicę, jako symbol biczowania, trzy gwoździe, którymi przybito Chrystusa do krzyża i drabinę, dzięki której ściągnięto Jezusa z krzyża. Dwie włócznie na krzyżu symbolizują przebity bok ukrzyżowanego Chrystusa, natomiast kogut i zegar zdradę Piotra. Ostatni element na nim to kolumna. Tradycja głosi, że to przy niej biczowany był Chrystus.



Krzyż ten w sposób wyraźny przedstawiał symbole męki i cierpienia Jezusa Chrystusa, który poświęcił swoje życie za zbawienie ludzkości. Przypominał praprababci o ofercie Chrystusa i zmusił ją do refleksji nad sensem cierpienia i zbawienia. Gdy praprababcia wróciła z pielgrzymki, krzyż stał się ważnym elementem jej codzienności. Umieściła go na półce obok łóżka, gdzie mogła go widzieć zaraz po przebudzeniu i przed snem. Każdego dnia modliła się przy nim, dziękując Bogu za łaski otrzymane podczas wojny i pielgrzymki. Krzyż był dla Katarzyny symbolem wiary, nadziei i siły w trudnych chwilach. Pomagał jej utrzymać wiarę w Boga i przypominał o jej duchowej pielgrzymce do Częstochowy. Ten metalowy przedmiot stał się dla niej nieocenioną skarbnicą mocy i wiary.

1 września 1939 roku wybuchła II wojna światowa. Moja rodzina 29.06.1940 roku, w imieniny Piotra i Pawła, została przesiedlona przez Niemców na roboty przymusowe do Nowogardu. Przyjechali tu pociągiem. Zabrali ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy i krzyż, który odgrywał w ich życiu tak ważną rolę, głęboko wierząc, że i tym razem ich ocali. Był to ciężki czas dla moich prapradziadków i ich dzieci. Trudna podróż w nieludzkich warunkach, strach przed tym, co ich czeka. Ściskając w dłoni krzyż, modlili się o życie, jednocześnie dziękując Bogu, że nie zostali rozdzieleni i rozstrzelani. W Jarocicach na ich ojcowiznie, nieopodal Warty, wojska niemieckie stworzyły poligon – to był ich ostatni obraz, który pozostał w ich pamięci, kiedy opuszczali rodzinny dom. Nadzieja, że kiedyś tam wrócą i zazną upragnionego spokoju, trzymała ich przy życiu. Po kilkudniowej podróży pełnej strachu i obaw o lepsze jutro, trafili do małej miejscowości Korytowo, gdzie pracowali dla niemieckiego baora o nazwisku Darsof. Każdy przesiedlony mężczyzna otrzymał numer. Prapradziadek Stanisław miał numer 768. W Korytowie cała rodzina ciężko pracowała na gospodarstwie, zajmując się uprawą roli i hodowlą zwierząt, a najmłodsze dzieci uczęszczały do niemieckiej szkoły. Prababcia Bolesia, po szkole z polecenia rodziny niemieckiej, u której sprzątała, roznosiła po pobliskich wsiach i niemieckich domach drewniane trepy. To były jej główne obowiązki, które pełniła będąc zniewoloną.

Jej rodzice i bracia w tym czasie pracowali ciężko na polu, aby utrzymać rodzinę przy życiu. Z czasem Bolesia stała się znana w okolicy jako mała dziewczynka, która pomagała niemieckim mieszkańcom w codziennych obowiązkach. Pomoc, którą świadczyła, była ważnym wsparciem dla jej bliskich, a dla niej samej była to okazja do nauki języka niemieckiego i poznania nowych ludzi. Jej starsza siostra Kazia pracowała w kuchni. Początkowo była przerażona nowym otoczeniem, kuchennymi garnkami, gorącymi piecami i niemłą ob-

sługą. Pewnego dnia sprzeciwiła się swojej przełożonej i za karę została zamknięta na dwa tygodnie w piwnicy nowogardzkiego ratusza. Odbywając tam karę raz dziennie wychodziła na zewnątrz po kromkę chleba i szklankę wody. Na szczęście po dwutygodniowej niewoli wróciła do domu cała i zdrowa. Była to ogromna ulga dla moich prapradziadków, że przeżyła ten trudny czas. Zarówno Kazia, jak i jej rodzina, cały czas pozostawała w modlitwie, a ich wiara stawała się coraz bardziej trwała i prawdziwa. Wszystkie dzieci pracujące w gospodarstwie raz w tygodniu spotykały się w pałacu na nauce śpiewu i gry na fortepianie. Była to forma nagrody za ich ciężką pracę. Dodatkowo raz w miesiącu, dwa kilometry od Korytowa, w miejscowości Jenikowo, odbywały się msze święte dla cudzoziemców, prowadzone przez księdza przyjeżdżającego ze Stargardu. Moi prapradziadkowie z całą rodziną uczestniczyli w każdej mszy, która dawała im możliwość bliskiego kontaktu z Bogiem. Pod koniec wojny prapradziadkowie otrzymali nowy dom w miejscowości, w której przebywali. Może trudno w to uwierzyć, ale moja rodzina nie zaznała dużej krzywdy u baora Darsofa – tak właśnie wspominała moja prababcia. Moi bliscy chcieli pozostać w Korytowie, jednak sytuacja się diametralnie zmieniła. Na ziemię polskie zajęte przez Niemców wkroczyły wojska rosyjskie. Gospodarz Darsof dał moim prapradziadkom wóz, dwa konie i kazał im uciekać. Z niewielkim dorobkiem życia i krzyżem, o którym również pamiętał mój prapradziadek Stanisław, krzycząc w tamtej chwili: „Matka nie zapomnij o krzyżu!!!”, wyruszyli w dalszą podróż. Po raz kolejny okazało się, że krzyż jest nieodłączną historią mojej rodziny pełnej wiary i nadziei. Cała rodzina udała się w stronę Goleniowa przez Redło i Mosty. Dotarli do Odry, gdzie zostali zbombardowani przez samoloty wroga. Ucierpiał tylko koń, którego prapradziadek odciął od uprzęży, żeby nie pociągnął ich za sobą do Odry. Po tym wstrząsającym zdarzeniu przez kilka dni ukrywali się w lesie. Przemarznięci, bez jedzenia i picia, pewnej nocy, gdy spali, zostali napadnięci przez dwóch rosyjskich żołnierzy. Uratował ich Starszym, przełożony wszystkich żołnierzy. Ratując im życie rzekł, że Polacy walczą z wojskami rosyjskimi ramię w ramię i należy ich ocalić! Znowu do mojej ukochanej rodziny uśmiechnęło się szczęście, za co do końca swoich dni dziękowali Bogu.

Po tym zajściu osiedlili się kilka kilometrów za Odrą, stawiając krzyż na honorowym miejscu w domu. Przebywali tam do maja i z niecierpliwością czekali na moment, kiedy ten koszmar się skończy. Pomimo, że wiele razy zagrażała im śmierć, cieszyli się, że rodzina jest razem.

8 maja 1945 roku zakończyła się II wojna światowa. Gdy sytuacja się trochę uspokoiła, prapradziadkowie z rodziną udali się do Stargardu, żeby po-

ciągłem wrócić na swoją ojcowiznę. W Stargardzie zostali ograbieni z dorobku swojego życia. Na szczęście nie odebrano im cennego dla nich krzyża. Po powrocie do Jarocic nic nie zastali. Wioska, w której mieszkali, została spalona. Praprababcia Katarzyna usiadła na ruinach swojego domu i zaczęła płakać. Tyle lat w niewoli, tęsknota za domem, znajomymi i nieoczekiwana pustka w miejscu, które kiedyś było ich domem. Długo się nie zastanawiając, wrócili do Korytowa i tam zaczęli nowy rozdział w swoim życiu.

Prababcia Bolesia była już nastoletnią dziewczyną. Z czasem wyszła za mąż i zamieszkała w Sapolnicy. Jej mąż Władysław podczas wojny przez półtora roku przebywał w obozie koncentracyjnym w Lipsku. Został tam wywieziony podczas obławy w kościele w Szadku.

Z Lipska przeniesiono go do Zakładów Cegielskiego w Poznaniu. Po wojnie z przyjaciółmi udał się w stronę Stargardu i zamieszkał w Sapolnicy. Był jednym z pierwszych osadników po wojnie w tej wsi. Zajął trzeci dom od końca. Po kilku miesiącach pradziadek Władysław sprowadził do Sapolnicy swoją rodzinę. Większość z nich mieszka tam do dziś. Praprababcia Katarzyna zamieszkała z nimi rok przed śmiercią. Razem z nią w domu rodzinnym moich dziadków pojawił się krzyż i historia mojej rodziny. Praprababcia Katarzyna przed śmiercią odbyła jeszcze kilka pielgrzymek do Częstochowy. Była osobą bardzo wierzącą. Pradziadkowie mieli pięcioro dzieci: Henryka, Eugeniusza, Krystynę, Lidię i Dariusza. Kryśka zmarła, gdy miała pół roku. Dzisiaj spoczywa w grobie moich pradziadków w Nowogardzie. Obecnie mój dziadek Eugeniusz pozostał w domu rodzinnym i prowadzi gospodarstwo rolne. Patrząc na niego wiem, że znalazł swoją drogę, ponieważ robi to, co kocha.

Historię krzyża mojemu dziadkowi i jego rodzeństwu przekazała prababcia Bolesława. Żyła ona 74 lata. Była osobą pracowitą, dbała o swoją rodzinę. W wolnej chwili poświęcała się modlitwie i pogłębiała swoją wiarę poprzez czynienie dobra. Po śmierci prababci krzyż został przekazany mojemu dziadkowi Eugeniuszowi jako dziedzictwo rodzinne. Teraz, gdy patrzę na ten krzyż, wspominam historię mojej prababci Bolesi. To nie tylko przedmiot religijny, ale również symbol silnej wiary i poświęcenia. Wywołuje on u mnie wiele wspomnień. Krzyż zapewniał moim przodkom bezpieczeństwo i nadzieję na lepsze jutro. Historia, którą przedstawiłam opowiada o losach rodziny Majchrzaków i Grygowskich z czasów I i II wojny światowej. Dzisiaj po wysłuchaniu tej opowieści, historia mojej rodziny jest mi bardzo bliska. Patrząc na zdjęcia rodzinne i słuchając fascynujących opowieści, zdaję sobie sprawę, że przeszłość jest z nami zawsze i nie można jej zapomnieć ani od niej uciec. Chwile radosne i smutne zapisują kolejne strony naszej rodzinnej księgi, które

nie sposób zamknąć. Dzięki tej opowieści wartości rodzinne stały się dla mnie bardzo ważne. Zaczęłam doceniać znaczenie rodzinnych więzi oraz spędzania czasu razem. Świadomości o tym, jak ważne jest wsparcie bliskich w trudnych czasach sprawiły, że relacje rodzinne stały się dla mnie kluczem do życia i pokonywania trudności, które niesie nam los. Mam nadzieję, że magia krzyża będzie chronić moją rodzinę i bliskich.

Historię tę dedykuję moim bliskim z rodziny...

Maja Sabalska

Polsko-Amerykańskie Szkoły Prywatne w Szczecinie



Zdjęcie prababci autorki pracy

Historia pamiętki rodzinnej, o której chcę opowiedzieć, zaczyna się w małym miasteczku na ziemi dobrzyńskiej, gdzie na świat przyszła moja babcia. Jest to opowieść pełna cierpienia i tęsknoty, ale także nadziei i wiary w lepsze jutro.

Wszystko zaczęło się w 1935 roku w Brodnicy, gdzie szczęśliwe życie wiodła moja prababcia ze swoim mężem - starostą tego miasteczka. Była młodą, pełną życia kobietą o bujnych, kręconych włosach i pięknych rysach twarzy. Jakież było jej szczęście, gdy okazało się, że spodziewa się dziecka. W dniu kiedy dowiedziała się, że pod sercem rozkwita nowe życie, postanowiła uwiecznić tę chwilę na pamiątkowej fotografii.

Los nie zawsze jest sprawiedliwy, a szczęście nie trwało długo. Podczas ciężkiego porodu prababcia zmarła, pozostawiając na świecie swoją córkę, małą Iwonkę. Jej życie rozpoczęło się w dniu, który miał być tym najszczęśliwszym, lecz stał się dniem niepojętego cierpienia i początkiem niekończącej się walki. Życie malutkiej Iwonki - mojej babci, zaczęło się w cieniu tragicznej straty. Jej ojciec, ogarnięty gniewem i rozpaczą, nie potrafił znaleźć w sobie siły, by otoczyć ją opieką i miłością. Zamiast tego, obwinił ją o śmierć swojej żony. Nie potrafił zrozumieć tragedii, która dotknęła jego rodzinę. W oczach ojca Iwonka stała się symbolem straty i cierpienia, z którymi nie potrafił się pogodzić. Jej wychowaniem zajęła się babcia, która starała się zapewnić wnuczce ciepło i wsparcie w tym okrutnym czasie, ale nawet ona nie mogła zastąpić ukochanej mamy.

Gdy w roku 1939 wybuchła wojna, życie Iwonki stało się jeszcze bardziej skomplikowane. Jej ojciec był celem poszukiwań przez Niemców. W obliczu zagrożenia musiał podjąć trudną decyzję. Wiedział, że nie będzie w stanie zapewnić córce bezpieczeństwa, więc oddał ją pod opiekę babci, Emilii Antoszewskiej.

Babcia Antoszevska, kobieta o wielkim sercu i umyśle sprytnym jak lis, przyjęła Iwonkę pod swój dach. W obliczu grożącego niebezpieczeństwa postanowiła chronić ją, jak tylko mogła. Zdecydowała, że najlepszym sposobem na ochronę dziewczynki będzie wychowanie jej jako Niemki. Rozpoczęła intensywne lekcje, ucząc Iwonkę, jak być jak najbardziej wiarygodną w swojej nowej tożsamości.

Dziewczynka, choć była jeszcze dzieckiem, szybko przyswajała sobie nowe zwyczaje i język. Babcia Antoszevska codziennie w tajemnicy przed światem uczyła ją niemieckich zwrotów, tradycji i obyczajów. Chociaż było to ryzykowne przedsięwzięcie, było ono niezbędne, a Iwonka wiedziała, że musi być silna i dzielna, aby przetrwać. Pomimo smutku i strachu, który towarzyszył jej każdego dnia, podążała za naukami babci. W miarę jak dorastała, coraz bardziej zdawała sobie sprawę z ryzyka, jakie ponosiła każdego dnia, jednak miała nadzieję na lepsze jutro, na dzień, kiedy wojna się skończy i będzie mogła powrócić do życia, które było jej odebrane.

Lata wojny były dla dziewczynki okresem ciągłej tajemnicy i niebezpieczeństwa. Musiała stale uważać na każde słowo i gest, aby nie zdradzić swojej prawdziwej tożsamości. Dzięki staraniom babci Emilii, przetrwała. Iwonka dorastała pozbawiona zarówno matczynej miłości, jak i ojcowskiego wsparcia. Zawsze jednak miała przy sobie to jedno zdjęcie - portret uśmiechniętej i pełnej miłości mamy. Był to jej skarb, jedyna pamiątka po ukochanej mamusi. Kiedy czuła się samotna lub przestraszona, patrzyła na zdjęcie, a uśmiech kobiety z fotografii sprawiał, że czuła się trochę mniej nieszczęśliwa. Ta pamiątka stała się dla niej źródłem siły i pocieszenia w najtrudniejszych chwilach.

Po latach wojny, gdy spokój wreszcie zawitał do kraju, a Iwonka mogła odkrywać na nowo swoją prawdziwą tożsamość, los przyniósł jej kolejne cierpienia. Ojciec zdecydował się na kolejny związek i zabrawszy dziewczynkę do swojego domu, uczynił z niej swoją służącą. Musiała opiekować się jego domem i dziećmi, które urodziły się z jego związku z nową żoną. Macocha traktowała Iwonkę bardzo źle. Dziewczynka wiodła życie niczym Kopciuszek, a jej marzenia i potrzeby nie miały dla ojca i jego żony żadnego znaczenia. Do jedzenia często dostawała czerninę, której nie znosiła. Gdy jej nie zjadła, nie dostawała nic innego do czasu, aż zupa nie została dokończona. Do szkoły chodziła pieszo, codziennie po kilka kilometrów. Po lekcjach w pierwszej kolejności zajmowała się domem i przybrany rodzeństwem, a dopiero wieczorem, gdy wszyscy już spali, miała czas na naukę. Wielokrotnie chodziła do szkoły przemęczona i niewyspana, ale zawsze przygotowana. Wiedziała bowiem, że wykształcenie może jej przynieść przepustkę do lepszego życia.

W miarę jak Iwonka dorastała, zdjęcie mamy było stałym towarzyszem jej życia. Trzymała je w swojej szkatułce ze skarbami, otulone miękkim materiałem, który chronił je przed zniszczeniem. Patrzyła na nie przy każdej ważnej decyzji, w chwilach radości i smutku, w dniach swoich urodzin. Życie jej nie rozpieszczało. Była sama, nie miała rodziny, która by ją kochała i wspierała. W swoim sercu odczuwała pustkę i ból oraz pragnienie ucieczki od cierpienia i samotności. Dlatego też, gdy tylko skończyła 18 lat, postanowiła zmienić swoje życie. Wyjechała z rodzinnego domu, szukając swojego miejsca na ziemi. Była sama, ale jej serce wypełniała nadzieja na lepsze jutro, na miłość, na którą zasługiwała. Mimo przeciwności losu była pewna, że gdziekolwiek by życie ją zaprowadziło, mama zawsze będzie z nią, patrząc na nią z pamiątkowej fotografii.

Bez wsparcia i miłości ze strony rodziny, musiała radzić sobie sama w okrutnym świecie. Była zdana tylko na siebie, musiała podejmować trudne decyzje i stawiać czoła przeciwnościom losu całkiem sama. Żyła w biedzie,

a mimo to skończyła szkołę z wyróżnieniem. Otrzymała nawet nagrodę za wyjątkową znajomość literatury polskiej, której była wielką miłośniczką. Rozpoczęła naukę na kierunku Literatury Polskiej Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Jednak nie było jej stać na studia, więc z wielkim bólem i żalem w sercu, po jednym semestrze nauki, musiała porzucić wymarzoną szkołę i rozpocząć pracę.

Moja babcia nie miała łatwego życia. Przyszła na świat w dniu śmierci swojej mamy, dorastała bez matczynej miłości, obwiniana o jej śmierć. Przetrwiała czas wojny, a potem lata poniżania i ciężkiej pracy w domu swego ojca, ale w samotnej wędrówce przez życie pozostawała odważna i silna. Ta sama siła, która pozwoliła jej przetrwać najgorsze chwile, była również źródłem ogromnej miłości do rodziny, którą sama założyła. Kiedy babcia została mamą, a na świat przyszedł jej syn - mój tata, starała się dać mu ogrom miłości jakiej sama w dzieciństwie nie zaznała. Na zawsze zapamiętam ją jako osobę bardzo ciepłą i kochającą nas całym sercem.

Babcia jest moją bohaterką! Zasługuje na uznanie za swoją wytrwałość i odwagę, które pomogły jej przetrwać najgorsze chwile. Los zsyłał jej wiele trudności, ale w sercu zawsze płonęła iskra nadziei na lepszą przyszłość. Życie mojej babci to historia o samotnej walce, o wytrwałości i determinacji w obliczu przeciwności. I choć los Iwonki nie rozpieszczał, nigdy nie przestała kochać swojej mamy, nigdy nie przestała wierzyć, że miłość jest największą siłą.

Przed śmiercią babcia przekazała mi pamiątkowe zdjęcie, opowiadając mi swoją historię i znaczenie tej jednej fotografii. Pomimo że moja prababcia odeszła przedwcześnie, jej pamięć trwa w sercach kolejnych pokoleń, przypominając każdemu, kto spojrzy na to zdjęcie, o niesamowicie ciężkiej drodze, jaką przeszła w życiu. Historia mojej babci jest pełna smutku i samotności, a zarazem niesamowitej siły, która pozwoliła jej przetrwać najtrudniejsze chwile. Daje jednak również nadzieję na to, że niezależnie od sytuacji w jakiej się znajdujemy, możemy zawalczyć o lepszą przyszłość.

Kaja Machała

Szkoła Podstawowa nr 33 w Zespole Szkół Sportowych
im. Sportowców Ziemi Szczecińskiej w Szczecinie



Odnaka wojskowa Stanów Zjednoczonych Combat Action Badge (CAB)

Pamiętki w mojej rodzinie mają duże znaczenie, ponieważ za każdą z nich kryje się prawdziwa i bardzo ważna historia oraz wydarzenia, które miały bezpośredni wpływ na nasze rodzinne życie. Pamiętek mamy wiele, jednak w mojej ocenie jedna z nich jest najważniejsza, ponieważ kryje za swoim srebrnym błyszczącym obliczem z jednej strony straszną historię, z drugiej jej szczęśliwe zakończenie, które pozwoliło mi przyjść na ten świat i mieć tak cudownego tatę. Wielokrotnie pytałam tatę, co to za odznaka i dlaczego nosi ją na mundurach po lewej stronie na swoim sercu. Przez wiele lat odpowiadał drżącym głosem: Córeczko jeszcze jesteś za mała, aby usłyszeć jej historię, dodatkowo w jego oczach pojawiały się łzy. Wtedy wiedziałam, że jest mu trudno o tym mówić, więc przestawałam dopytywać. Jednak, gdy skończyłam 12 lat i kolejny raz zapytałam, tata opowiedział mi historię tego wyjątkowego odznaczenia.

Rozpocznę od kilku zdań, w których przedstawię mojego kochanego tatę. Grzegorz, bo tak ma na imię, jest żołnierzem, oficerem Wojska Polskiego od 21 lat, weteranem misji wojskowych III i XII zmiany w Afganistanie oraz VI zmiany w Libanie. Wielokrotnie odznaczony przez Prezydenta i Ministra Obrony Narodowej medalami, ale także wieloma ważnymi odznaczeniami międzynarodowymi, takimi jak „Za Zasługi w Służbie Pokoju”, dwukrotnie „Gwiazdą Afganistanu”, Bojową Odznaką Piechoty oraz tą najważniejszą, najbliższą jego sercu Combat Action Badge (CAB). Jest to odznaka wojskowa Stanów Zjednoczonych przyznawana żołnierzom armii amerykańskiej, ale również żołnierzom Sił Zbrojnych innych państw współpracujących z Armią USA, między innymi żołnierzom Wojska Polskiego biorącym udział w misjach na terenie Afganistanu czy Iraku. Regulamin nadania odznaki stanowił, że nie wystarczy zasługa udziału w walce, żołnierz musiał mieć kontakt z wrogiem, czyli wymiana wrogiego ognia lub narażenie się na niebezpieczeństwo. Odznaka przedstawia prostokąt podtrzymujący bagnet M9 i granat M67 owinięte wieńcem dębowym, całość jest w kolorze srebrnym. Zgodnie z duchem etosu wojownika, Combat Action Badge (CAB) zapewnia specjalne uznanie dla żołnierzy, którzy osobiście angażują się w działania wroga lub są angażowani przez wroga podczas działań bojowych. Bagnet i granat są kojarzone z aktywną walką. Wieńiec dębowy symbolizuje siłę i lojalność.

15 sierpnia 2008 roku w Afganistanie, w bazie Sharana stacjonował zespół bojowy mojego tatę. Zapowiadał się kolejny trudny dzień dla plutonu, który otrzymał zadanie patrolowania niebezpiecznej drogi prowadzącej z Sharany do bazy Korner. Przed samym wyjazdem tata dowiedział się, że ma wykonać inne ważne zadanie, które polegało na przelocie polskim śmigłowcem do bazy w Bagram, aby odebrać nowy sprzęt. Było to duże wyzwanie, ponieważ polskie śmigłowce latały w Afganistanie dopiero od tygodnia, więc piloci nie znali jeszcze terenu. Koledzy tatę wyjechali realizować patrol bez niego. Trzy godziny później tato wystartował śmigłowcem, aby wykonać rozkaz. Po kilku minutach lotu pilot odebrał wiadomość o ataku na polski pluton patrolujący drogę, nad którą przelatywali, dodatkowo pluton cały czas walczył i ranny został polski żołnierz, który potrzebował natychmiastowej ewakuacji do bazy, do której leciał śmigłowiec. Pilot podjął decyzję, że pomoże żołnierzom i wylądować w tym trudnym terenie. Natychmiast po wylądowaniu tato z dwoma kolegami wysiedli ze śmigłowca i pobiegli pod ostrzałem odebrać rannego żołnierza, okazało się, że jest to jego kolega z plutonu, a uszkodzony pojazd to ten, którym tato miał jechać podczas patrolu. Po kilku minutach z pomocą ratownika medycznego zabrali rannego do śmigłowca i wystartowali. Podczas startu, przela-

tując nad miejscowością, do śmigłowca zaczęli strzelać, w takiej sytuacji żołnierze lecący śmigłowcem powinni szybko położyć się na podłodze, jednak tam znajdował się ranny żołnierz, więc było to niemożliwe. Każdy z nich pochylał się i zaczęli się modlić. Udało się odlecieć i nikt więcej nie został ranny. Po godzinie dolecieli do bazy w Bagram, w której na rannego żołnierza na lotnisku czekali już ratownicy medyczni i lekarz. Natychmiast zabrali go do karetki i zawieźli do szpitala. Tata razem z pilotem i pozostałymi członkami załogi obejrżeli śmigłowca i okazało się, że został trafiony kilkanaście razy. Jedno z trafień było bardzo niebezpieczne, brakowało 15 centymetrów do uszkodzenia wirnika. Gdyby do tego doszło, musieliby awaryjnie lądować na terytorium obleganym przez wroga.

29 sierpnia na uroczystej zbiórce w bazie Ghazni w Afganistanie odbyło się wręczenie odznak kilku żołnierzom amerykańskim oraz po raz pierwszy w historii wśród odznaczonych znaleźli się polscy żołnierze, którzy zostali odznaczeni wyjątkowym wyróżnieniem – „Bojową Odznaką Piechoty” – jednym z wyróżnionych był mój tata. *Mam zaszczyt dopełnić ceremonii odznaczenia naszych kolegów żołnierzy poprzez przypięcie im na mundur Bojowej Odznaki Piechoty. To zaszczyt dla nich, ale i święto dla nas. Dlatego mogąc ich odznaczyć odczuwam szczególny rodzaj satysfakcji. Tym bardziej, że wśród naszych kolegów są też Polacy, co cieszy mnie podwójnie* – podkreślał dowódca bazy Ghazni pułkownik Wilson Marks. To był historyczny moment dla całej polskiej armii. Bojowa Odznaka Piechoty została ustanowiona przez Departament Wojny USA w dniu 27 października 1943 roku. Wyróżnienie to powstało, aby podnieść morale i prestiż żołnierzy piechoty, a tym samym docenić ich heroizm podczas wykonywania zadań w strefie działań wojennych. Odznaka jest przyznawana do dnia dzisiejszego żołnierzom należącym do korpusu piechoty oraz sił specjalnych, którzy brali aktywny udział w walce.

Historia miała szczęśliwe zakończenie, ranny żołnierz przeżył. Tata wykonał rozkaz i szczęśliwie wrócił do domu. Mogę cieszyć się z tego, że jest ze mną cały i zdrowy. To on miał jechać tego dnia w pojeździe, który został ostrzelany. Jednak w ostatniej chwili otrzymał inny rozkaz, który prawdopodobnie uratował mu życie. Jestem bardzo dumna z mojego taty. Jest moim bohaterem, który dumnie nosi przyznane odznaczenie na swoim sercu. Czuję się przy nim bezpieczna, zawsze mogę na niego liczyć i nie tylko ja, ale również nasza Ojczyzna. Cechuje go szczerłość i szacunek dla innych. Stawia zawsze dobro służby ponad ambicje osobiste. Dba o wizerunek wojska i etos służby.

W trakcie odbywania misji w Afganistanie poległo lub zmarło już 43 polskich żołnierzy i 1 pracownik cywilny wojska. **CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!**

Szymon Owczarek

Szkoła Podstawowa im. Janusza Korczaka w Gostomi

Tekturowa książeczka i zagubiony krzyż. Kim byłeś prapradziadku?

Wśród jesiennych dni, rozkołysanych kolorowymi, wirującymi liśćmi, wśród tajemniczych wieczorów tworzących niepowtarzalny klimat zadumy, wynurza się jeden dzień w roku, ten jeden jedyny dzień, w którym dom, na co dzień napędzany mnóstwem spraw życia codziennego, zwyczajnie zatrzymuje się. Nasze życie schodzi na dalszy plan. Jest to pierwszy listopada.

W miejscowości, w której mieszkam, tego dnia odbywa się msza św. na cmentarzu. Czuwałem wraz z moją rodziną nad grobem prapradziadka Wojciecha oraz praprababki Karoliny. Znudzony obrzędem zacząłem przypatrywać się, po raz pierwszy w swoim życiu, napisom na pomniku. Zaciekawiał mnie fakt, że mój prapradziadek przeżył dwie wojny światowe. Był to dla mnie moment olśnienia. Szarpnąłem lekko płaszcz mojej mamy i zapytałem, czy po powrocie do domu mogłaby opowiedzieć mi o życiu zmarłego przodka. Mama chętnie przystała na moją prośbę. Od tamtej chwili już w ogóle nie mogłem skupić się na mszy. Z niecierpliwością przestępowałem z nogi na nogę i czekałem na moment, w którym poznam naszą historię rodzinną.

W drodze powrotnej nagabywałem mamę pytaniami na temat prapradziadka Wojciecha. Usłyszała je moja babcia Małgorzata (wnuczka dziadka Wojtka) i przypomniała sobie, że w domu zmarłego w ubiegłym roku, prapradziadka Jana (syna Wojciecha) znajdują się pamiątki należące do prapradziadka dotyczące II wojny światowej. Na uroczystym rodzinnym obiedzie wyłoniły się z mroków historii wspomnienia wydarzeń, które sprawiły, że moje zainteresowanie losami prapradziadka przerodziło się w fascynację. Po spotkaniu udaliśmy się razem z mamą i siostrą Wiktoria, którą również zainteresował ten temat, do domu prapradziadka.

Znaleźliśmy tam kilka zdjęć przedstawiających prapradziadka na wielbłądzie, w samochodzie ciężarowym, na tle pięknego budynku w jakimś dużym mieście i w towarzystwie innych żołnierzy. Moją uwagę zwrócił fakt, że na każdym zdjęciu był w innym mundurze.



Poza zdjęciami były też dokumenty, zaświadczenia, legitymacje, wydane w polskim i angielskim języku. W pewnym momencie znalazłem coś, co wprawiło mnie w osłupienie. Była to mała tekturowa książeczka z wyjątkową ilustracją. Przedstawiała krzyż z napisem MONTE CASSINO MAJ 1944, nad nim widniał napis: 2 KORPUS POLSKI, a pod spodem ITALIA 1944.



To oznaczało tylko jedno. Mogę to mówić z nieograniczoną dumą! Mój prapradziadek należał do Armii gen. Władysława Andersa, dokładnie do 5 Kresowego Baonu Łączności i brał udział w niezapomnianej bitwie o zdobycie wzgórza Monte Cassino we Włoszech.

Łzy same napłynęły mi do oczu. Duma nie pozwoliła mi ich pohamować. Wzruszony i pełen ciekawości postanowiłem wyszukać w stercie pamiątek odznaki, której dotyczyła legitymacja. Ciocia Maria (druga wnuczka prapradziadka Wojciecha) uświadomiła mi, że niestety order został przekazany innej części rodziny, mieszkającej wiele kilometrów ode mnie i słuch o nim zaginął.

Natomiast legitymacja została z nami. Fakt zaginionego orderu nie zmniejszył mojego głodu wiedzy na temat wojennych losów mojego przodka. Nieustannie drażyłem temat na każdym spotkaniu rodzinnym. Zacząłem również szukać informacji w źródłach historycznych. Z opowieści moich bliskich i wyszukanych treści utkałem obraz tamtych odległych wydarzeń.

W sierpniu 1939 roku wiele poszlak wskazywało, że zagraża nam wojna. 30 dnia tego miesiąca prezydent RP Ignacy Mościcki ogłosił mobilizację. Wyzaczył ją na dzień 31 sierpnia 1939 roku. Wojciech Buras, wtedy już trzydziestoosmioletni mężczyzna, mąż i ojciec dwojga dzieci Stasi i Jasia dostał przydział do wojska, do oddziału łączności. Gdy 17 września na ziemi polskie wkroczyły wojska radzieckie jego oddział zgodnie z rozkazem naczelnego wodza nie podjął walki. Szeregowy Buras razem z towarzyszami broni dostał się do niewoli. Trafił do łagrów. W 1941 r., kiedy władze sowieckie zezwoliły na formowanie wojska polskiego, dotarł do tworzonej na terenie ZSRS armii polskiej. Prapradziadek służył w 5 Kresowym Baonie Łączności 5 Kresowej Dywizji Piechoty, który wchodził w skład 2 Korpusu Polskiego generała Władysława Andersa. W sierpniu 1942 r. z portu w Krasnowodzku batalion wypłynął do Iranu. Po przejściu kwarantanny na plażach w pobliżu Pahlewi, został przetransportowany do Iraku. Gdy przyszło lato w 1943 r., podjęto decyzję i wojsko zostało przesunięte do Palestyny, a w połowie stycznia 1944 r. do Egiptu. Na pewno tutaj zrobione zostało zdjęcie ukazujące szeregowego Wojciecha na wielbłądzie.

W lutym 1944 r., 5 Kresowa Dywizja Piechoty 2 Korpusu Polskiego z portu Port Said została przetransportowana do Włoch. Płynęli w dużym konwoju liczącym około 40 okrętów, które eskortowane były przez kontrtorpedowce. Prapradziadek Wojciech od 11 marca 1944 r. do 2 maja 1945 r. brał udział w walkach na froncie włoskim. To właśnie tu jednostki Polskich Sił Zbrojnych wystąpiły po raz pierwszy w samodzielnym związku taktycznym. Tutaj też generał Władysław Anders dowódca 2 Korpusu Polskiego podjął się niezwykle trudnego i odpowiedzialnego zadania, zdobycia Monte Cassino, które było kluczowym punktem pasa umocnień tzw. Linii Gustawa.

Przez sześć trudnych dni od 12 do 18 maja 1944 r. trwała krwawa i zacięta bitwa. Nasze oddziały współpracowały z Francuskim Korpusem Ekspedycyjnym i 78 Dywizją brytyjską. 5 Kresowy Batalion Łączności w trakcie bitwy od nocy 11/12 maja uruchomił łączność radiową. Podczas trwającej 6 dni bitwy wykorzystani byli również gońcy motocyklowi, którzy przewozili rozkazy pomiędzy stanowiskami dowodzenia dywizji i podległymi im służbami tyłowymi. W ostatnich dniach starcia łącznościowcy przejęli niemiecki mel-

dunek o wycofaniu się z klasztoru. Umożliwiło to artylerii ostrzelanie drogi odwrotu nieprzyjaciela. W nocy 17/18 maja 1944 Niemcy opuścili klasztor, obawiając się okrążenia. Polska flaga dumnie zawisła nad niezdobytą dotąd twierdzą. W porze południowej, w miejscu ruin klasztoru Monte Cassino, plutonowy Emil Czech odegrał hejnał mariacki, którego brzmienie zapewne niejednemu z naszych żołnierzy wycisnęło z oczu łzy. W trakcie walk, głównie podczas obsługi sieci łączności przewodowej, poległo czterech towarzyszy Wojciecha Burasa, a dziewięciu zostało rannych.

Mój prapradziadek przeżył i walczył dalej. W dniach 19-28 maja jego batalion organizował łączność ze stanowiska 5 Kresowej Dywizji Piechoty z nacierającym na Pizzo Corono i Monte Cairo 15 Pułkiem Ułanów Poznańskich. To nie był koniec ich zmagania. Następne walki toczyły się o Piedimonte, Ankonę nad Morzem Adriatyckim, w rejonie Rimini. 27 lutego 1945 r., w krótkiej przerwie między działaniami wojennymi odbywa się dekoracja żołnierzy 5 Kresowego Batalionu Łączności pamiątkowym Krzyżem Monte Cassino. Od marca 1945 r. batalion przemieszcza się na odcinku: San Pietro – Iwola – Bologna. W trakcie walk o to piękne miasto batalion wykonuje trudne zadanie. Patrole pracują pod ciągłym ogniem wroga na zaminowanym terenie. Ginie kilku towarzyszy. Działania bojowe trwają bez ustanku. Żołnierze nie mają czasu na sen i odpoczynek. 21 kwietnia dywizja wyzwala Bolonię. 2 maja 1945 r. Niemcy kapitulują na froncie włoskim. Nadszedł tak długo wyczekiwany, wytęskniony i wymodlony czas pokoju.

Od tego czasu wszyscy z niecierpliwością czekają na powrót do kraju. 20 marca 1946 r. żołnierze otrzymali odezwę rządu brytyjskiego dotyczącą rozwiązania 2 Korpusu Polskiego. We wrześniu tego roku z Neapolu wypłynęły statki wiozące naszych bohaterów, lecz nie do wymarzonej Polski. Miejszem ich pobytu stała się Wielka Brytania. Warunki w jakich przyszło im tam mieszkać oraz niepewność dnia następnego załamała wielu z nich. Pomimo wieści o zajęciu ojczyzny przez Rosję Sowiecką coraz więcej towarzyszy broni zgłosiło się do wyjazdu do kraju. Wśród nich był również mój prapradziadek Wojciech. Z dokumentów z tego okresu, które otrzymałem od babci Małgorzaty dwa zaświadczenia o jego pobycie w Anglii. Jeden z nich to zaświadczenie o odbytym szczepieniu przeciwko ospie wietrznej. Drugim natomiast jest „Travel Document”, czyli tzw. dokument podróży zastępujący paszport. Umożliwił on mojemu przodkowi powrót do kraju. Został wydany, jak widnieje na pieczęci 7 maja 1947 r.

Na ziemię ojczystą prapradziadek przybył wraz ze swoim przyjacielem, który towarzyszył mu w jego tułaczce wojennej od samego początku. Ich statek

zawinął do portu w Gdańsku 11 czerwca 1947 r. Z kolejnego dokumentu – zaświadczenia wydanego przez Państwowy Urząd Repatriacyjny Ministerstwa Administracji jeszcze Rzeczypospolitej Polskiej, który jest w posiadaniu mojej rodziny dowiedziałem się, że Wojciech Buras udał się do swojej rodzinnej wsi Krzątka w powiecie Kolbuszowskim. Dokument ten umożliwił mu bezpłatny dojazd do miejsca zamieszkania i zobowiązywał do zameldowania się na posterunku Milicji Obywatelskiej w ciągu 14 dni od jego wydania. Tam miał otrzymać nowy dokument tożsamości. Z opowieści mojej babci dowiedziałem się, że gdy czterdziestosześcioletni już prapradziadek wszedł wraz ze swoim przyjacielem do rodzinnej wsi, widząc bawiące się dzieci, powiedział: Któreś z nich może być moją pociechą, a ja nawet nie jestem w stanie wskazać, które z nich. Po powrocie do domu okazało się, że jedno z dzieci faktycznie było dzieckiem prapradziadka Wojciecha. Była to, kilkuletnia wtedy, moja ciocia Stanisława, siostra mojego pradziadka Jana, której niestety nie ma już z nami.

I tak historia, która zafascynowała mnie w pamiętny listopadowy dzień zatoczyła krąg i wróciłem do terażniejszości. Mała tekturowa książeczka, którą trzymam teraz w dłoni sprawiła, że odkryłem nowy, nieznan mi świat. Rozbudzona dumą i wzruszeniem ciekawość sprawiła, że zupełnie inaczej odbieram teraz informacje o wydarzeniach historycznych mojego kraju. One są już teraz MOJE, a ten odległy, nieznan mi przodek stał się bliski i drogi.

Podczas poszukiwań informacji o 5 Kresowym Baonie Łączności 5 Kresowej Dywizji Piechoty 2 Korpusu Polskiego natknąłem się na słowa, które wywarły na mnie duże wrażenie:

Jeżeli mimo to Polska, za którą zginęli, wolna nie jest – to ani ich wina, ani nasza, ani też wina Narodu Polskiego. W walce o swoją wolność i wolność świata, w walce z podwójnym wrogiem, Naród Polski oddał w ofierze 17 procent swych synów i córek. Dzisiaj naród nasz trwa w ciężkiej walce, opierając się sowietyzacji. Naród ten dalej patrzy na nas, bo wie, że tylko my mamy na obczyźnie możliwość jawnej walki o prawdziwą, niesklamaną wolność. Zaufania tego nie zawiedziemy. Walczyć będziemy w każdych warunkach – bez względu także – wszędzie, gdziekolwiek pójdziemy [...]. Drogi nasze będą różne, szlaki ciężkie, ale Bóg nie-rychliwy, ale sprawiedliwy – da nam w końcu tak pracowicie osiągnięty cel. Duchy kolegów naszych, duchy pokoleń walczących o wolność – od Kircholmu po Bolonię – są w tej walce z nami. Będziemy nadal trwać na obczyźnie, jako uczciwi ludzie, rzetelni Polacy i żołnierze zwycięskich bitew.

(Bolonia 12 października 1946 r.)

Wypowiedział je generał Władysław Anders podczas poświęcenia wojennego cmentarza w Bolonii 12 października 1946 r. Mój prapradziadek był

wówczas we Włoszech i na pewno je znał.

Słowa te wypowiedziane w trudnym dla żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych okresie stały się dla nich przesłaniem i drogowskazem na kolejne ciężkie i trudne lata. Dzisiaj możemy powiedzieć, że były one prorocze. Bóg dał nam tak pracowicie osiągnięty cel, żyjemy w wolnym kraju. Możemy czcić pamięć bohaterów 2 Korpusu Polskiego i wszystkich innych, którzy walczyli o wolną, demokratyczną Polskę.

Prapradziadek otrzymał jeszcze wiele odznaczeń od władzy ludowej, są wśród nich: srebrny i złoty medal Siły Zbrojne w Służbie Ojczyzny, Medal Zwycięstwa i Wolności 1945 z 1972 r., Krzyż Polonia Restituta, medal za zasługi dla obronności Kraju, jednak ten jeden jedyny, którego już nie ma, po którym została tylko książeczka, jest dla mnie najcenniejszy.

Zofia Siuta

Szkoła Podstawowa im. Przyjaciół Dzieci w Mierzynie

Rok 1900. To właśnie wtedy mój praprapradziadek, Wincenty Chmiel, wrócił do Polski po swoim pięcioletnim pobycie w Stanach Zjednoczonych. Wyjechał w poszukiwaniu lepszych perspektyw i możliwości zarobkowych, pragnąc zapewnić swojej rodzinie stabilną przyszłość. Mimo, iż za granicą cieszył się komfortowymi warunkami i obfitością możliwości, Wincenty, opuszczając kraj wiedział, że w przyszłości jego serce nieuchronnie poprowadzi go z powrotem do kochanej ojczyzny. Wracał do domu z zaledwie kilkoma osobistymi przedmiotami, bez większej ilości upominków czy pamiątek z podróży, jednak wypełniony bogactwem doświadczeń. Jedyną rzeczą przypominającą mu o czasie spędzonym za oceanem była stara drewniana skrzynia, którą kupił za pierwsze zarobione tam pieniądze. Choć na pierwszy rzut oka wydawała się być zwyczajnym przedmiotem, dla Wincentego miała ogromną wartość sentymentalną, niosąc w sobie nie tylko wspomnienia, lecz także jego nadzieje i marzenia.



Skrzynia ta emanowała wyjątkowym urokiem. Jej powierzchnia była pokryta misternymi wyrzeźbionymi wzorami kwiatów o subtelnym kształtach. Kontrastujące jasne akcenty z miękkiego drewna przeplatały się z głębokim, ciemnym brązem reszty skrzyni, nadając jej wyjątkowego charakteru. Imponowała również swoim rozmiarem, była niezwykle pojemna, a przy tym bardzo solidna i dobrze wykonana.

Po powrocie do rodzinnego kraju, Wincenty postanowił samodzielnie wybudować dom dla swojej rodziny w Nawsiu – małej miejscowości położonej na terenie dzisiejszego województwa podkarpackiego, znajdującej się niedaleko rodzinnych stron mężczyzny. Ciężko pracował, gdy z determinacją i poświęceniem wznosił ściany, własnoręcznie układając każdą deskę i każdą cegiełkę. Zależało mu na stworzeniu miejsca, które nie tylko będzie stanowiło dla niego dach nad głową, ale także stworzy ognisko rodzinne pełne ciepła i bez-



pieczeństwa. Ukończywszy pracę, spoglądając z dumą na swoje dzieło, Wincenty już wiedział, co będzie pierwszą rzeczą, którą wstawi do swego nowo wybudowanego domu - starą drewnianą skrzynię, dającą mu nadzieję na nowy początek.

Rodzina Chmielów prowadziła ciche i spokojne życie w swoim malowniczym gospodarstwie. Wincenty, oddany rolnik, zajmował się uprawami, jego żona troszczyła się o dom i wychowywała ich trzy piękne córki. Wszystko układało się doskonale, życie toczyło się spokojnie, a atmosfera w domu napawała ciepłem serca i miłością. Jednakże nadszedł czas, kiedy świat pogrążył się w chaosie – rozpoczęła się pierwsza wojna światowa, burzliwie zmieniając ich beztrudne dni w chwile pełne niepokoju i niepewności. Wincenty stanął przed wyjątkowo trudną decyzją. Choć był to dla niego bolesny krok, zdecydował się ponownie opuścić swój ojczysty kraj. W trakcie pierwszej wojny światowej, Stany Zjednoczone były relatywnie bezpieczne w porównaniu do wielu krajów europejskich zaangażowanych w konflikt. Polska, będąc pod zaborami, była znacznie bardziej narażona na działania wojenne oraz na cierpienia związane z okupacją i represjami. Mając to na uwadze, Wincenty na początku 1915

roku, odczuwając coraz większe napięcie w związku z niestabilną sytuacją polityczną i społeczną w Polsce, podjął decyzję o opuszczeniu swojej ojczyzny. Wraz z żoną i dziećmi zdecydowali się na wyjazd, kierując swoje kroki w stronę Stanów Zjednoczonych, gdzie liczyli na znalezienie bezpiecznego schronienia przed wojennymi zawirowaniami. W pośpiechu i z ograniczoną ilością czasu, Wincenty i jego rodzina zabrali tylko jeden bagaż – ich starą, drewnianą skrzynię. Wypełnili ją dokumentami, porcelaną, biżuterią, rodzinnymi fotografiami i innymi ważnymi dla nich przedmiotami osobistymi. Właśnie tak skrzynia ponownie znalazła się w Stanach, miała być świadkiem kolejnych kroków, jakie rodzina podejmie w dążeniu do zapewnienia sobie stabilnego i spokojnego życia.

Okres pierwszej wojny światowej minął Chmielom względnie spokojnie. Choć atmosfera była nasycona niepewnością, ich serca rozpalala nadzieja. Wiosną 1919 roku, po zakończeniu wojny, rodzina powróciła do Polski z radością odkrywając, iż ich rodzinny dom w Nawsiu pozostał niemal nienaruszony, zachowując swój urok i spokój, jakby oczekiwał na powrót swoich mieszkańców z niezachwianą wiernością. Ponowne umieszczenie starej skrzyni w domu Chmielów było nie tylko czynnością praktyczną, ale również symboliczną oznaką powrotu pewnej stabilności i tradycji. Przechadzając się po swoim domostwie, rodzina przemierzała znajome zakamarki, które tym razem zdawały się odrobinę obce. Każdy kąt budził w nich inne uczucia, począwszy od nostalgii, aż po narastający niepokój. Jednakże w momencie, w którym postawiono skrzynię na swoim miejscu, wszystkie wcześniej nieznanne emocje zniknęły, ustępując miejsca poczuciu spokoju i prawdziwej przynależności. Rodzina zrozumiała, że nawet najmniejsze zakątki tego domu stają się częścią ich własnej historii. Patrząc na swoją drewnianą skrzynię poczuli, iż znaleźli właściwe miejsce, gdzie ich serca spoczną już na zawsze. Rodzina przysięgła sobie, że będzie tam trwać, budując wspólne marzenia, dzieląc radości i troski. To właśnie był moment, w którym pierwszy raz byli prawdziwie przekonani, iż niezależnie od tego, gdzie zaprowadzi ich życie, znaleźli swoje miejsce na Ziemi.

Lata mijały, a rodzina Chmielów powiększała się. W 1923 roku najstarsza córka Wincentego, Maria, doczekała się pięknego, zdrowego syna, który wniósł w dom jeszcze więcej radości i energii. Wraz z przyrostem rodziny, skrzynia stała się nie tylko miejscem sentymentalnych pamiątek, ale także praktycznym meblem do przechowywania przedmiotów codziennego użytku. Z biegiem czasu wypełniła się nie tylko drobiazgami rodzinnej historii, ale także przedmiotami niezbędnymi do codziennego funkcjonowania – od zabawek dziecięcych po narzędzia kuchenne, od ważnych dokumentów po rysunki

małego Franka. Skrzynia stała się centrum domowego porządku, miejscem, gdzie trzymane były rzeczy ważne, praktyczne i sentymentalne, tworząc swoisty zbiór wspomnień i potrzeb.

Franciszek, już od najmłodszych lat angażował się w prace gospodarskie. Pomoc chłopca stała się niezastąpiona, zwłaszcza ze względu na podeszły wiek jego dziadka, Wincentego, który nie mógł już wykonywać wszystkich dawnych obowiązków. Sytuację komplikowała również nieobecność ojca Franka, który porzucił rodzinę w pierwszych miesiącach życia swojego syna. Mimo wszystko chłopcu nie przeszkadzała praca w gospodarstwie. Pomoc dziadkowi, który zawsze był dla niego wsparciem i wzorem do naśladowania, przynosiła mu prawdziwą satysfakcję. Właśnie dlatego chłopiec codziennie budził się o świcie z uśmiechem na twarzy, gotowy do wykonywania swoich codziennych obowiązków nawet, gdy cały świat ponownie pogrążył się w mroku.

Wybuch wojny wniósł niepokój w życie rodziny Chmielów. Franciszek, wychowany przez osoby, które przeżyły pierwszy konflikt światowy, był przerażony widokiem świata tonącego w chaosie. Chłopiec doskonale rozumiał powagę sytuacji, wiedział, iż nadchodzące czasy wniosą w jego życie niebezpieczeństwo oraz grozę. Pomimo narastającego niepokoju, rodzina Chmielów, silnie przywiązana do swojej ojczystej ziemi, postanowiła tym razem nie uciekać przed nadchodzącymi trudnościami. W czasie pierwszej wojny światowej opuścili kraj i udali się do Stanów Zjednoczonych, po powrocie do Polski złożyli sobie jednak obietnicę, że nie będą już więcej uciekać. Teraz, w obliczu kolejnych niepewności, zdecydowali się zostać na swoim miejscu, gotowi stawić czoła przeciwnościom i bronić swego domu. Ta decyzja była dla nich wyrazem determinacji w walce o swoje wartości i przyszłość.

Pewnego poranka, gdy pierwsze promienie słońca dopiero zaczynały rozświetlać ciemne niebo, a przyroda drzemała jeszcze w półśnie, Franciszek rozpoczął przygotowania do kolejnego dnia pełnego pracy w gospodarstwie. Chłopak, przyzwyczajony do swojej rutyny, począł krzątać się po domu starając się nie obudzić żadnego członka rodziny. Otaczała go jeszcze cisza, która zwykle towarzyszyła wczesnym porankom na wsi. Głęboko w myślach chłopak rozważał zadania do wykonania w nadchodzącym dniu, jego umysł przemykał po planach upraw, stanach zapasów paszy dla zwierząt oraz innych drobiazgach, których należało dopilnować, aby wszystko działało jak należy. Nagłe, delikatne pukanie do drzwi przerwało chłopakowi tę kontemplację. Początkowo zlekceważył on dźwięk, uznając go za wytwór swojej wyobraźni. Fakt, że ktoś mógłby zjawiać się w progu drzwi młodzieńca tak wcześnie rano, przyprawił go o lekkie zdziwienie i niepokój. W miarę, gdy dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy,

do Franka zaczęło dochodzić, iż jest on prawdziwy. Zastanawiała go jedynie przyczyna czyjejs tak wczesnej wizyty. Zdezorientowany, postanowił otworzyć drzwi, kiedy to zrobił, roztaczający się przed nim obraz potwierdził, że nie był to sen czy złudzenie. W jego drzwiach stała obca dziewczyna. Na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że kobieta jest zmęczona i przerażona. Franciszek nie mógł ukryć zdziwienia. Zanim zdążył wypowiedzieć choćby jedno słowo, dziewczyna zemdlła. Gdy zaczęła bezwładnie lecieć na ziemię, chłopak instynktownie złapał ją pod rękę, dzięki czemu uniknęła upadku. Nie wiedząc co robić, młodzieniec ostrożnie przeniósł nieznajomą na stojące wewnątrz domu łóżko. Przerażony wcześniej tą niecodzienną sytuacją Franek, zaczął powoli uspokajać się i układać w głowie plan działania, postanowił ocucić dziewczynę. Po długich próbach jej powieki zaczęły drgać, a świadomość powoli powracać. W momencie, w którym przybyszka odzyskała przytomność, chłopak nie wiedział jak się zachować, był zdezorientowany i niepewny. Delikatnie przytrzymując dziewczynę za ramiona, pomógł jej usiąść, starając się zachować przy tym spokój. Franek miał wiele pytań. Sytuacja, w której się znalazł wydawała mu się nierealna, chłopak zapytał nieznajomą kim jest i co ją sprowadza o tak wczesnej porze, jednak nie otrzymał konkretnych informacji. Dziewczyna wzięła głęboki oddech i próbowała odpowiedzieć, ale jej głos był ledwie słyszalny. Franciszek podał jej szklankę wody i zachęcająco uśmiechnął się, czekając cierpliwie, aż odzyska siły. Mimo wysiłków chłopaka, nieznajoma ponownie zaczęła tracić przytomność, młody człowiek zrozumiał, że dalsze pytania mogą jedynie pogorszyć jej stan, więc z braku lepszych pomysłów, postanowił zbudzić swoją matkę. Kobieta po usłyszeniu od swojego syna nerwowego streszczenia wydarzeń, nakazała mu powrót do wykonywania swoich obowiązków obiecując, iż zajmie się wycieńczoną dziewczyną. Mimo szczerych starań Franek nie był w stanie skupić się na pracy. Jego myśli stale krążyły wokół nieznajomej, a uczucie zmartwienia i ciekawość nie dawały mu spokoju. Kiedy w końcu wrócił do domu, zastał dziewczynę leżącą dokładnie w miejscu, w którym ją pozostawił, jednak natychmiast dostrzegł, że tym razem nieznajoma wydawała się w pełni przytomna. Młodzieniec nareszcie mógł poznać całą historię.

Dowiedział się, iż dziewczyna nazywała się Zofia Zając. W czasie drugiej wojny światowej przymusowa praca stanowiła jedną z głównych metod pozyskiwania taniej siły roboczej w Niemczech, a zarazem jedną z form eksterminacji ludności terytoriów podbitych przez III Rzeszę. Niestety, Zosia stała się ofiarą jednej z łapanek i wraz z około setką osób miała zostać przetransportowana do kraju okupanta. Podczas przesiadki na granicy Polski z Niemcami

dziewczyna, korzystając z nieuwagi strażników, ukryła się w betonowym przepuście pod torami. Tam, w mrocznym i dusznym schronieniu, czekała w absolutnej ciszy, aż nie słyszała już żadnego dźwięku, a jej oddech zaczął się uspokajać. Z braku lepszych możliwości, Zosia postanowiła podążać wzdłuż torów kolejowych. Przez cztery dni i cztery noce przepełnione wyczerpującą wędrówką musiała znosić okropne zimno, dręczący głód i rosnące wyczerpanie. Dopiero po upływie tego długiego czasu dostrzegła miejscowość, którą rozpoznała. Bezsilna i wyczerpana, zapukała do pierwszych drzwi, które zobaczyła licząc na pomoc, gdyż nie mogła już dłużej iść o własnych siłach. Tak Zofia Zając trafiła do domu rodziny Chmielów. Ci dobroduszni ludzie opiekowali się nią przez wiele tygodni, podczas których dziewczyna chorowała na tyfus, a następnie odzyskiwała siły.

Niestety, nie wszystko zawsze układało się idealnie. Kiedy uderzenia w drzwi rodziny Chmielów stawały się coraz bardziej głośnie i nieubłagane, atmosfera wewnątrz domu natychmiastowo zmieniła się z beztroskiej i spokojnej na wyjątkowo napiętą. Wszyscy mieszkańcy doskonale wiedzieli co się dzieje, była to niemiecka kontrola. Nigdy nie można było mieć całkowitej pewności, jak zakończy się taka wizyta, czy będą to jedynie przeszukania, czy coś znacznie gorszego. Rodzina Chmielów zdawała sobie sprawę, że jeśli chce mieć jakiegokolwiek szanse na przetrwanie, nie może pozwolić, aby Zosia została zauważona przez gestapowców. Niepewność wypełniała każdą chwilę, jedynym celem stało się zachowanie życia i bezpieczeństwa. Myśl o tym, jak mogłoby zakończyć się rozpoznanie Zosi przez Niemców jako zbiega, była nie do zniesienia. Nagle każdy oddech był jakby ostatnim, a każde następne uderzenie w drzwi, mogło wydać na Chmielów ostateczny wyrok. Nawet w obliczu przerażenia, które ogarnęło ich serca, rodzina musiała działać szybko. Pierwszym i w tamtym momencie jedynym pomysłem, było ukrycie Zosi w starej, niezawodnej skrzyni. Była to decyzja, podejmowana w pośpiechu, gdy lęk paraliżował myśli całej rodziny, a niepewność co do przyszłości, czyniła każdy moment prawdziwym koszmarem. W tamtej chwili, w której każda sekunda zdawała się być wiecznością, skrzynia stała się ostatnią deską ratunku rodziny. Jedyne, co pozostało w sercach domowników, to nadzieja na lepsze jutro, która świeciła jak jasna gwiazda na nocnym niebie, dodając im siły do przetrwania w najtrudniejszych chwilach. Dzięki imponującej wielkości skrzyni, dziewczyna bez trudu znalazła w niej schronienie. Drobną i wychudzoną ze względu na chorobę sylwetką Zosi, ułatwiła jedynie cały proces. Wizyta gestapowców zakończyła się bez większych komplikacji, gdy Niemcy wreszcie opuścili dom Chmielów, wszyscy spojrzeli na skrzynię, która uratowała życie całej rodziny

oraz Zosi. To był jeden z tych niezwykłych momentów, które na zawsze pozostają w pamięci. Mimo, iż myśl ta może wydać się nieco niezwykła, głęboko w sercach rodziny zachowało się przekonanie, że ta stara skrzynia przynosiła szczęście. W tamtym momencie wszyscy domownicy czuli pewnego rodzaju wdzięczność za jej obecność, nie była to pierwsza sytuacja, w której ten z pozorów zwyczajny przedmiot, wyciągał ich z opresji.

Pod koniec drugiej wojny światowej, między Frankiem a Zosią zaczęło kiełkować pewne uczucie, które kwitło w ich sercach, jak pączek na wiosennym krzewie. Ku rozpaczy młodzieńca, dziewczyna po dojściu do siebie i złożeniu ogromnych podziękowań jemu i jego bliskim, postanowiła opuścić dom Chmielów i powrócić do rodzinnej miejscowości. W tamtym okresie Sowieci zaczęli zajmować obszary, wcześniej będące pod okupacją niemiecką. Zachodzące zmiany miały istotne konsekwencje dla mieszkańców, zmieniając ich codzienne życie i relacje społeczne. Dla Chmielów okres ten był wyjątkowo ciężki, gdyż zbiegł się w czasie ze śmiercią głowy ich rodziny, Wincentego. Franek okazał się szczególnie dotknięty stratą. Chłopak pozostał bez kogoś, kto był dla niego o wiele więcej niż dziadkiem. Wraz z odejściem Wincentego, stracił osobę, która przez całe życie zastępowała mu ojca. Czas głębokiej tęsknoty i próby dostosowania się do nowej rzeczywistości, pozbawionej ukochanej postaci, był dla rodziny bardzo trudny. Franciszek nie mógł znieść widoku starej skrzyni, która przez całe jego dzieciństwo niezmiennie zajmowała centralne miejsce domu, wybudowanego przez jego ukochanego dziadka. Momentami czuł wobec niej głęboką niechęć, ponieważ przywoływała w nim wspomnienia o Wincentym. Skrzynia, która kiedyś była dla rodziny symbolem nadziei, stała się obiektem przypominającym o bólu i żalobie.

Kiedy sowieccy żołnierze wkroczyli do Nawsia, śmiało penetrując jego spokojne domostwa, to właśnie gospodarstwo Chmielów z do dziś nieznanego powodu, stało się celem ich działań. Bezlitosne spojrzenia i polecenia wydawane przez uzbrojonych mężczyzn sprawiły, że rodzina z trudem zdążyła zebrać swoje najcenniejsze przedmioty przed tym, jak została wyrzucona za próg. Już po krótkim czasie okazało się, iż Sowieci w starym domostwie Chmielów, postanowili urządzić pewnego rodzaju biuro dowódcze. Rodzina miała całkowity zakaz wchodzenia na teren swojej dawnej posesji, jedynie Franciszek mógł raz dziennie przychodzić, aby nakarmić zwierzynę. Po pewnym czasie chłopak począł zauważać, iż z każdym dniem ubywało królików, kurcząt oraz zapasów żywności. Ku radości rodziny, ten trudny dla nich okres nie trwał długo, ponieważ już w 1945 roku druga wojna światowa oficjalnie dobiegła końca. Po latach przepełnionych trudami i grozą, Chmielowie mogli odetchnąć z ulgą

i wrócić do swego domu. Świadomość, że okropności wojny są już za nimi, wypełniła ich serca nadzieją na lepsze jutro i radością z powrotu do codziennego życia.

Wracając do rodzinnego domu, Chmielowie oczekiwali, że zastaną go w zupełnie innym stanie niż widzieli go po raz ostatni. Przewidywano brak większości mebli, zniszczone ściany, ale przede wszystkim ogromną przepaść między miejscem, które zapamiętali, a rzeczywistością wyniszczoną przez wojnę. Jednakże, zaskoczeniem okazał się fakt, iż mimo burzliwych wydarzeń, dom zachował swój dawny klimat. Pomijając brak pojedynczych przedmiotów, miejsce zachowało swój niepowtarzalny charakter, co wzbudziło w rodzinie głębokie uczucie ulgi i wzruszenia. Największym zaskoczeniem okazało się jednak odkrycie pozostałości po rosyjskich dokumentach w starej drewnianej skrzyni, która musiała służyć Sowietom, jako miejsce do składowania różnych papierów. Znalezisko wskazywało na to, że dom był świadkiem wielu historii, stało się też dla rodziny swoistym podsumowaniem burzliwych czasów wojny, ale także świadectwem ich udziału w większej historii. Pomimo tych nieoczekiwanych odkryć w sercach Chmielów zapanowało uczucie wdzięczności, że mogą ponownie cieszyć się spokojem i normalnością.

Historia rodziny Chmielów jest niewątpliwie pełna dramatycznych zwrotów akcji, które pokazują determinację w przetrwaniu nawet najtrudniejszych chwil. Od wyjazdu mojego praprapradziadka Wincentego do Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu lepszej przyszłości, przez powrót do Polski w czasach pierwszej wojny światowej, po konfrontację z okropnościami drugiej wojny światowej. Rodzina przeszła wiele prób, które tylko zacieśniły ich więzi. Mimo wszystko, najważniejszy element historii stanowi skrzynia, która stała się symbolem nie tylko sentymentalnych wspomnień, ale także nadziei i wytrwałości rodziny w obliczu trudności. Była świadkiem wielu wydarzeń, od pokoju i harmonii po chaos wojny, aż po momenty desperacji. To, jak przetrwała zmieniające się okoliczności, jest metaforą siły Chmielów i ich zdolności do przetrwania nawet najtrudniejszych prób.

Franciszek i Zofia po zakończeniu wojny zaczęli się spotykać, a w 1949 roku wzięli ślub. Ich miłość zakorzeniła się głęboko, dając owoc w postaci pięciorga dzieci – czterech chłopców i jednej dziewczynki. W miarę jak rodzina rosła, potrzebowała większej i nowszej przestrzeni do życia. Franciszek, postanowił zbudować nowy dom, w którym rozpoczął się kolejny rozdział jego życia. Trzeci syn Franciszka, mój dziadek, w wieku 18 lat opuścił rodzinne strony i przeniósł się do Kamienia Pomorskiego, aby podjąć pracę jako górnik. Tam zakochał się i postanowił osiąść na stałe. Nie zapomniał jednak o korzeniach

i historii swojej rodziny, zabrał ze sobą starą skrzynię Chmielów, która od tamtej pory stoi w jego domu, kontynuując tradycję. Jestem niezwykle dumna, że mogę być częścią tej wspaniałej opowieści i sama pisać jej dalszy ciąg.



Laura Wacinkiewicz

Polsko-Amerykańskie Szkoły Prywatne w Szczecinie



Odkąd tylko sięgam pamięcią, wierzę, że jeśli przedmiot ma właściciela to musi posiadać duszę, a póki nie został zapomniany, ma także swoją historię i jest skarbnicą związanych z nim wspomnień. Może dlatego zawsze uwielbiałam przeglądać moje rodzinne pamiątki. Może właśnie dlatego każda rzecz, którą widziałam w domu mojego dziadka, skrywała w sobie nie tylko wyjątkowe przeżycia lub sekrety, ale była dla kogoś najważniejszym dobrem materialnym, dowodem jego życia, dzięki któremu pozostawił po sobie ślad, nawet jeśli wartość tego dobra była niewielka.

Pewnego deszczowego dnia moja fascynacja starociami zaprowadziła mnie na strych domu dziadka, gdzie odnalazłam dość stary, drewniany zegar ścienny. Było w nim coś, co mnie szczególnie zainteresowało, wręcz urzekło. Choć początkowo wydawało mi się, że jest to zwyczajny zegar, ujęła mnie w nim drobna kukułka, która w latach swej świetności, wyskakiwała z mecha-

nizmu o wyznaczonej godzinie, odmierzając czas. Postanowiłam zapytać dziadka o moje, jak mi się wstępnie wydawało, pospolite znalezisko. Zegarów ściennych przecież niejeden strych ma w nadmiarze, skrywając je głęboko w swoich zakamarkach. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, jak niezwykłą historię odkryję. Nie zdawałam sobie sprawy, że zegar to nie tylko świadek naszej rodzinnej historii, ale że ja dzięki niemu żyję... Dziadek opowiedział mi opowieść nasiąkniętą szczęściem i jednocześnie smutkiem, ale także obawami oraz strachem o ludzkie życie, które stanowi przecież najpiękniejszą wartość. Opowieść dziadka na zawsze zapadła mi w pamięć...

To był rok 1918, który miał przynieść światu pokój. Zakończyła się I wojna światowa. Mój praprapradziadek – Wicus – był ułanem, z tego też powodu otrzymał tereny na Wołyniu, gdzie założył gospodarstwo. Posiadał bardzo dużo cudownych, dostojnych rumaków, ponieważ były to zwierzęta, które darzył szczególnym uwielbieniem i podziwem. Wiódł spokojne życie z żoną Wandą i dwójką dzieci – Tadeuszem i Wandzią, a ich szczęście pozostawało nienaruszone aż do czasu, kiedy w 1939 roku wybuchła II wojna światowa. Uaktywniły się wówczas ukraińskie grupy nacjonalistyczne, których celem było pozbycie się Polaków z terenów Wołynia. Realizując swoje okrutne plany, zakradali się oni nocami do domów Polaków, bestialsko ich mordując. Pewnego mroźnego dnia – a było to w 1942 roku – do domu szczęśliwej rodziny Wicusia zawiatał sąsiad pochodzenia ukraińskiego.

- Witaj szanowny sąsiedzie! Miło widzieć kogoś znajomego w czasach wojny. Co cię do nas dzisiaj sprowadza?

- Oj sąsiedzie... okropne czasy nastały! Dostałem informację od pocztowego kuzyna, że dziś w nocy Ukraińcy będą mordować Polaków! Jesteście w niebezpieczeństwie! Musicie uciekać!

Przerażony Wincenty pobiegł zawiadomić swoją niczego niespodziewającą się rodzinę, mówiąc w pośpiechu, że ich życie jest zagrożone i że muszą opuścić domostwo jak najprędzej. Bliscy musieli pogodzić się z myślą, że zostawiają swój ukochany dom, a wraz z nim wszystkie piękne wspomnienia, które latami gromadzili, a które wiązały się z ich miejscem na ziemi. Największym wrogiem w tej trudnej sytuacji był jednak czas, który płynął nieubłaganie szybko. Czy łatwo jest spakować całe swoje dotychczasowe życie do jednej bryczki? Powoli zapadała noc, a wraz z nią godzina wyjazdu. Jako że bryczka nie była zbyt duża, ojciec i syn usiedli na przodzie, aby władać końmi, a Wandzia i jej matka zasiadły z tyłu wśród wielu – w pośpiechu zabranych – rodzinnych pamiątek. Leżały tam m.in. poduszki z ręcznie wyszywanym wzorem, zapas jedzenia na około miesiąc, apteczka oraz stary zegar ścienny chwilowo

przytwierdzony do wewnętrznej ścianki pojazdu, tak by nie uszkodził się w transporcie. Konie ruszyły, a im dalej oddalały się od domu, tym bardziej w tyle zostawał rodzinny majątek i piękne wspomnienia. Wspomnienia, które latami budowały ich przeszłość.

Rodzina jechała ponurą, mroczną nocą, a jedynymi towarzyszami tej podróży były drzewa, niemi świadkowie historii. Kołysały się one złowrogo, przeczuwając nadciągające zagrożenie. Chłodny, zimowy, przeszywający wiatr owiewał rodzinę Wicusia z każdej strony. Wydawało się, że nic im nie grozi i nic nie jest w stanie naruszyć spokoju podróży, póki Wincenty nie usłyszał galopujących za nimi koni.

- Cóż to? - powiedział sam do siebie.

Zamiast odpowiedzi nagle usłyszał huk.

- Padnij! - krzyknęła przerażona matka do dzieci.

Rozległ się jeszcze jeden huk, a za nim następne siedem. Wincenty nie wiedział co zrobić. Myślał, że to koniec i że śmierć jest bliska, że dogonili ich Ukraińcy i za chwilę rozstrzelają całą rodzinę. Wtedy – nagle – wydarzyło się coś niezwykłego. Mężczyzna dostrzegł rozgałęziającą się drogę. Nie mając czasu do namysłu, kierując się impulsem, postanowił skrócić w tę bardziej krętą, choć wyglądającą groźniej, odnogę drogi, tak by Ukraińcy nie mogli ich złapać. Jeszcze przez chwilę słyszał za sobą odgłosy końskich kopyt, lecz wkrótce i one ucichły. Podążając dalej obraną drogą, po mozolnie dłużącej się nocą podróży i po równie długim dniu, rodzina zobaczyła miasto. Jak się okazało, był to tętniący życiem Kraków, w którym postanowili się osiedlić. Początkowo zatrzymali się w pensjonacie, gdzie udzielono im schronienia i gdzie zaczęli rozpakowywać swoje nieliczne, zabrane w trakcie ucieczki, rzeczy. Wówczas odkryli, jak niezwykle przypadek wydarzył się w czasie leśnej strzelaniny. Jeden z pocisków wymierzonych w rodzinę, przebił się przez tylną ścianę ich pojazdu i przebiłby się przez kolejną, prawdopodobnie pozbawiając życia wiciowego syna, gdyby nie to, że zatrzymał się na starym zegarze. Trafił wprost w jego serce – w kukułkę, zatrzymując się wśród kołatek i trybików zegara. Rodzina Wicusia była uratowana i bezpieczna, jednak, aby móc utrzymać finansowo tak wiele osób, Wincenty musiał podjąć pracę. Dzięki ciężkiej pracy na Wawelu mogli pozwolić sobie na zakup skromnego, lecz ładnego domu, w którym zniszczony zegar wisiał nad kominkiem. Nie został on jednak naprawiony, ponieważ Wicusz uważał, że zegarmistrz mógłby uszkodzić maszynę lub co gorsza, trwale ją zniszczyć. Kiedy II wojna światowa dobiegła końca Wicusz z najbliższymi wyprowadził się z Krakowa do Kalisza. Na tym jednak historia odliczającego czas zegara nie skończyła się...

Po przeprowadzce do Wielkopolski rodzina zamieszkała w starym i zniszczonym domu, który lata świetności miał za sobą i wymagał remontu. Zegar został wtedy umieszczony w jednej z wielu drewnianych skrzyń na strychu. Wraz z upływem kolejnych miesięcy ognisko domowe nabierało uroku i stawało się coraz ładniejsze, czego nie można było powiedzieć o zegarze. Jego trybiki okryła rdza, a drewno osłaniające mechanizm zaczęło pękać. Zegar, po tym jak uratował życie członkom rodziny Wicusia, został zapomniany... To okrutne i smutne zarazem, że rzecz, która niegdyś była tak istotna, została ot tak porzucona. Nie ubiegała się ona o uwagę, będąc jedynie dobrem materialnym. Nikt już nie pamiętał, że zegar jest także niemyym świadkiem rodzinnej historii. Mijały lata, a on, nikomu już niepotrzebny, zalegał na strychu, aż do pewnej pamiętnej wiosny, kiedy dorosły już syn Wicusia, postanowił zgłębić jego zasoby. Przeglądał po kolei wszystkie pudła ze starociami w poszukiwaniu ozdobnych poduszeczek, które jego mama miała w zwyczaju szyć. Nagle spostrzegł skrzynkę nieznaną mu do tej pory. Była gęsto pokryta ciemnym kurzem, lecz mężczyzny nie powstrzymało to przez sprawdzeniem jej zawartości. Powolnym ruchem podniósł wieczko i jego oczom ukazał się zegar. Ten sam zegar, dzięki któremu on ciągle stąpał po ziemi. Wszystkie wspomnienia momentalnie do niego powróciły. Radość nie trwała jednak długo, gdyż zegar stanął zapewne parę ładnych lat temu.

Ze względu na stan znaleziska najlepszym rozwiązaniem było oddanie go do naprawy. Tak też się stało. Zegar trafił do dobrego znajomego rodziny – Staszka. Był on wybitnym zegarmistrzem, który słynął z tego, że nigdy się nie poddaje i walczy o życie każdego zegara. Tak było również i tym razem, choć Staszek trudził się z naprawą przez kilka miesięcy. Kiedy został poproszony o renowację tej ważnej pamiętki, nie spodziewał się, że tyle pracy będzie musiał włożyć, by zegar znów zaczął działać. Wiele jego drobnych części było niezdatnych do użytku, jednak dzięki wytrwałości Staszka, pasji jaką włożył w proces dorabiania części i naprawę zegara, mozolny proces dobiegł końca, a pamiętka trafiła ponownie do właściciela.

Wicus był jednak w trakcie przeprowadzki. Nie zapominając o pięknym zegarze i nie chcąc ryzykować jego ponownym zniszczeniem, stwierdził, że zegar będzie idealnym prezentem dla jego wnuczki Władzi, która słynęła z prowadzenia zespołu tanecznego Banda-Burka we wsi Wiśniowa. Darowany jej zegar zawisł w sali, gdzie odbywały się próby i przygotowania do występów. Tancerze wierzyli, że zegar odmierza im jedynie szczęśliwe chwile i jest ich talizmanem podczas występów. Każdego dnia zegar wydawał bardzo głośny dźwięk, co oznaczało początek zajęć.

W 2015 roku Banda-Burka obchodziła swoje pięćdziesiąte urodziny. Z okazji tego wydarzenia zegar został zwrócony rodzinie założycielki zespołu, którą reprezentował mój dziadek Tadeusz – praprawnuk Wicusia. Tym samym historia zatoczyła koło i zegar wrócił na swoje miejsce.

W historii o Ułanie Wicusiu – moim praprapradziadku – morał jest taki... przeznaczenie zakodowane w zegarach nieubłaganie odmierza czas kolejnym pokoleniom naszej rodziny, ale nie mówmy o przemijaniu, lecz o tym, co dzieje się teraz. Szanujmy to, skąd pochodzimy i dokąd idziemy, bo przeszłość i przyszłość spotyka się we wskazówkach zegara. Traktujmy go zatem nie tylko jako towarzysza naszej pięknej, życiowej podróży, ale czasem jak los na loterii, dzięki któremu mamy darowane drugie życie, bo zegar nie tylko odmierza czas, ale i może darować życie. Nam darował naszą rodzinę.

Sandra Kossak-Łopyta

Szkoła Podstawowa nr 7 im. Heleny Raszki w Szczecinie



Obraz Hansa Meyera

W domu mojej Prababci Gertrudy, w Grudziądzu w dużym salonie zawsze wisiał obraz. Mam takie mgliste wspomnienie z czasów, gdy miałam 5 lat, byłam wtedy u Prababci na jej urodzinach. Był gorący sierpień, zjechała się cała rodzina, wszędzie słychać było rozmowy dorosłych i piski rozbawionych wnuków. Pamiętam, że usiadłam na podłodze, zadarłam głowę i urzeczona wpatrywałam się w ciemne góry na obrazie. Dźwięki wokół mnie ucichły, a ja przeniosłam się w wyobraźni na górzysty krajobraz. W pewnym momencie podeszła do mnie Prababcia, spojrzała na mnie swoimi niebieskimi, pełnymi miłości oczami (tylko ona miała tyle miłości w oczach) i powiedziała: *Sandrusiu, gdy mnie już nie będzie – ten obraz będzie Twój. Pamiętaj, że jest wyjątkowy.* W tym momencie podbiegła do mnie Johanna - kuzynka w moim wieku i zawołała: berek! Odwróciłam się i popędziłam za resztą dzieci. Przez chwilę jeszcze spojrzałam na obraz, na Prababcię, upewniłam się, czy rzeczywiście będzie mój i gdy tylko znalazłam potwierdzenie w spojrzeniu mojej ukochanej Pra-

babci, beztrudnie ruszyłam do zabawy. Wtedy jeszcze nie miałam świadomości, że słowa, które usłyszałam, tak szybko staną się rzeczywistością.

Na początku października do mojej mamy zadzwoniła ciocia Ilona, że Prababcia zmarła. Nie za wiele z tego wtedy rozumiałam, ponieważ nie za bardzo pojmowałam, co to znaczy umrzeć. Mama wyjaśniła mi, że Prababcia poszła do nieba i żyje z aniołkami i że kiedyś się jeszcze zobaczymy. Pogrzeb odbył się bardzo szybko, trochę płakałam ale smutek szybko przegnały zabawy z moim kuzynostwem.

Gdy skończyłam 10 lat na moje urodziny przyjechała ciocia Ilona (córka Prababci) i ku mojej wielkiej radości przywiozła ze sobą obraz. Mój ulubiony, na który mogłabym patrzeć godzinami. Obraz namalował Hans Meyer. Widnieją na nim majestatyczne góry, u podnóża których rozpościera się jezioro. Całość utrzymana jest w spokojnej niebieskiej i zielonej tonacji. Wieczorem ciocia usiadła ze mną przed obrazem i zaczęła snuć historię, o której nigdy wcześniej nie słyszałam.

Mój Pradziadek Alfons Kossak-Głowczewski pochodził ze szlacheckiej rodziny z terenów Kaszub, był młodzieńcem, gdy wybuchła II wojna światowa. Co prawda szlachectwo w tych czasach nie miało już znaczenia, jednak dla naszej rodziny do dnia dzisiejszego pozostało ważnym symbolem. Przed wejściem do mojego domu wisi nasz herb, a rodzina która mieszka w Niemczech na mocy decyzji urzędowych przywróciła „von” przed nazwiskiem. Do szlachectwa naszego jeszcze będę nawiązywać ale na razie wrócę do historii Pradziadka.

Mój Pradziadek walczył w czasie wojny, działał w Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” i niestety w okolicach Kutna dostał się do niewoli, został przewieziony do obozu pracy w Potulicach. Potulice były miejscem zagłady i tragicznych wydarzeń. Zamordowano tam tysiące ludzi w tym bardzo dużo dzieci. Pradziadek w obozie bardzo podupadł na zdrowiu, najprawdopodobniej miał ostre zapalenie płuc. Nie był zdolny do pracy, a w obozie osoba niezdolna do pracy zazwyczaj kończy śmiercią. Na szczęście rodzice skontaktowali się z daleką krewną mieszkającą w Berlinie, która zajmowała wysokie stanowisko i za jej pośrednictwem udało się „załatwić” zwolnienie z obozu. Chory Pradziadek wrócił do domu i długo dochodził do siebie. Nigdy nie chciał mówić, co przeżył w obozie. Wolał o tym zapomnieć. Na szczęście młody organizm zwalczył infekcję i Pradziadek powoli zaczynał myśleć o powrocie do wojska.

Pewnego dnia Pradziadek przebywał poza domem, starał się zdobyć żywność, o którą było bardzo ciężko w czasie wojny. Kiedy pod wieczór wracał do

domu zauważył, że coś jest nie tak. Furtka była otwarta, na podwórzu porzucane było pranie, drzwi wejściowe do domu również pozostały otwarte. Po chwili usłyszał czyjeś wołanie: *Gestapo ich zabrało! Uciekaj, bo wrócą po ciebie!* W jego kierunku biegła sąsiadka i z przerażeniem opowiadała, co się stało. Pradziadek wbiegł do domu, zabrał prędko to, co wydawało mu się niezbędne i biegł przed siebie ile sił w nogach. Dobrze wiedział, że aresztowania kończą się tragicznie. Przed oczami znowu stanęła mu rzeczywistość obozowa. Bał się, bał się samotności ale jeszcze bardziej bał się o życie bliskich: mamy, taty i młodszego rodzeństwa. Jeszcze wtedy nie wiedział, że jego rodzina trafiła do Potulic i że piekło obozu przeżyje tylko matka.

Pradziadek znalazł się gdzieś w środku lasu. Powoli robiło się ciemno i musiał rozejrzeć się za jakąś kryjówką, aby przenocować. Zmęczony od biegu i od ciężkich emocji usiadł pod drzewem i czekał na sen ale sen nie przychodził. Zbyt wiele działo się tego dnia. Wyobrażenia podsuwała mu przerażające wizje. Nie wiedział, co teraz będzie i jak sobie poradzi. Cały świat, który znał, runął jak domek z kart. Myśli biegły szybko, a noc wydawała się nie mieć końca. Nagle w pierwszych porannych przebłyskach ujrzał jakiegoś człowieka. Bardzo się wystraszył więc zerwał się do ucieczki. Nagle nieznajomy zawołał: *nie uciekaj chłopcze, pomogę ci!* Pradziadek słysząc polską mowę odetchnął z ulgą i zatrzymał się. Za nim stał mężczyzna w wieku jego ojca, który zapytał: *Co się stało? Co robisz tutaj sam w lesie?* Pradziadek opowiedział mu zdarzenia minionego dnia i głośno zapłakał. *Chodź ze mną, zabiorę cię do domu, tam będziesz bezpieczny, zaopiekujemy się tobą.*

Pradziadek nie miał innego wyjścia, musiał zaufać obcemu. Wiedział, że sam w lesie nie poradzi sobie. Okazało się, że nieznajomy mieszka z rodziną w Grudziądzu. Przyjechał w kaszubskie lasy, by wspomóc swoich dalszych krewnych, jednak dzisiaj miał już wracać do domu. Wieczorem wyruszyli do Grudziądza. Droga okazała się dłuższa niż planowano, bo przecież w czasie wojny przemieszczanie się było utrudnione, ale w końcu obaj bohaterowie znaleźli się w grudziądzkim domu. Był to 5 pokojowy domek. Jednak Pradziadek musiał pozostać ukryty, dlatego zaprowadzono go do piwnicy, do której wejście znajdowało się pod podłogą. Mieszkańcy przynieśli mu koce, świece i jedzenie. Mój Pradziadek usiadł w kącie piwnicy i ponownie ogarnął go lęk o przyszłość. Zadawał sobie pytania jak przetrwa w tej piwnicy, ile wojna jeszcze będzie trwała, co będzie, gdy jednak Niemcy go znajdą, czy trafi ponownie do niewoli i czy rodzina, która mu pomogła poniesie tego konsekwencje?

Po godzinie uporczywych rozmyślań usłyszał skrzypiący dźwięk otwieranych drzwi i czyjeś kroki na schodach. Do piwnicy weszła młodziutka drobna

dziewczyna o niezwykle intensywnie niebieskich oczach. Delikatnym i ciepłym głosem powiedziała: *Dzień dobry, jestem Gertruda ale wszyscy mówią do mnie Tulka*. Pradziadek nie mógł wydusić z siebie słowa tylko patrzył i patrzył i chłonał urodę Tulki. Prababcia dodała: *Przyniosłam ci coś w prezencie*. Dopiero teraz Pradziadek zauważył, że w ręku trzyma ogromny obraz, przystawił świecę i dostrzegł namalowane góry w ciemnej, niebieskiej i szafirowej tonacji. Tulka zauważyła, że obraz zrobił na przybyszu wrażenie więc roześmiała się i dodała: *Przyniosłam go dla ciebie, bo nie ma tutaj okna, więc niech ten obraz będzie dla ciebie nadzieją i okazją do marzeń*. Pradziadek pośpiesznie pomógł zawiesić obraz na ścianie i dopiero po chwili uświadomił sobie, że się nie przedstawił więc stanął na baczność i oświadczył: *Alfons Kossak-Główczewski - a w zasadzie von Kossak-Główczewski* - Tulka zachichotała a Alfons uznał, że to najpiękniejszy śmiech, jaki kiedykolwiek słyszał. Prababcia odparła: *Wiem, tata mi wszystko opowiedział, że znalazł cię w lesie i że nie wolno nikomu mówić, że mieszkaś u nas w piwnicy*.

Para widywała się codziennie. Tulka opowiadała, co dzieje się w kraju, jak przedstawia się sytuacja na froncie i podtrzymywała na duchu ukrywającego się Alfonsa. Te wspólne rozmowy bardzo zbliżyły ich do siebie, dlatego też na uczucie nie trzeba było długo czekać. W piwnicy, w Grudziądzu w środku szalejącej wojny i cierpienia, dwoje młodych ludzi przysięgało sobie miłość. To tutaj były pierwsze pocałunki i czułe trzymanie się za ręce. Świadkiem tych wszystkich zdarzeń był obraz, okno na inny piękny i bezpieczny świat, na góry, których spokoju i majestatu nie zmąci żadna wojna. Pradziadek i Prababcia obiecali sobie, że gdy tylko skończy się wojna, pojedą w góry i będą wolni od lęku i niepewności i że cały świat dowie się o ich miłości. W chwilach zwątpienia i rezygnacji z powodu przedłużającej się wojny siadali przed obrazem trzymając się za ręce i planowali wspólną przyszłość. To pomagało im przetrwać i nie poddawać się.

Kiedy ciocia snuła swoją opowieść, nie mogłam uwierzyć, że tyle magii i wspomnień wiąże się z moim obrazem. Poczułam się naprawdę wyróżniona, że jestem jego właścicielką. *Ciociu, co było dalej, co było po wojnie, pojechali w góry?* – dopytywałam z wypiekami na twarzy. *Oczywiście – ciocia kontynuowała. Wojna skończyła się po 6 długich latach. Twój Pradziadkowie, czyli moi rodzice wzięli ślub. W podróż poślubną pojechali oczywiście w góry, tak jak sobie przysięgli w ciasnej, ciemnej piwnicy. W górach poczuli się prawdziwie wolni i że zaczynają nowe życie. Niedługo potem urodził się Twój dziadek Edward, potem Twój wujek Witold i ja. Obraz zawsze wisiał w salonie na honorowym miejscu.*

Do pokoju weszła właśnie moja mama Ania i dodała *Zgadza się, znam*

tę historię, tata mi zawsze o niej opowiadał, też marzyłam zawsze o tym obrazie, jest wyjątkowy, cieszę się, że znalazł się u nas w domu. Mam nadzieję, że zawsze będziesz pamiętać te wspomnienia i przekażesz je swoim dzieciom i wnukom. Mój tata opowiadał też, że Babcia Tulka i Dziadek Alfons udali się także na wycieczkę po Kaszubach, ponieważ dziadek chciał pokazać Babci majątki, które kiedyś należały do rodu von Kossak-Główczewskich. Oglądali piękne dworki i młyn a przede wszystkim zachwycające krajobrazy pojezierza Kaszub.

Kiedy teraz myślę o swoich Pradziadkach i okrucieństwie wojny, czuję jak bardzo ten czas był dla nich niesprawiedliwy. Byli niewiele starsi ode mnie. Nie mogli beztrwosko cieszyć się życiem, spotkać się na wspólnym spacerze, pójść do kina lub kawiarni. Każdego dnia żyli w lęku o życie swoje i swoich najbliższych. Bardzo im współczuję, że jedynym oknem na świat przypominającym o dobrym, bezpiecznym świecie był obraz. Jestem też dumna z bohaterstwa mojego Pradziadka i chociaż tak wiele przecierpiał, to moi rodzice zawsze powtarzali, że nigdy nie miał narodu niemieckiego w nienawiści. Walczył z faszyzmem i bardzo ubolewał, że tak piękny kraj o bogatej kulturze zapisał się niechlubnie na kartach historii.

Mam wiele rodzinnych pamiątek, mnóstwo zdjęć z dawnych czasów, jednak obraz jest zachwycający. Nie tylko piękny ale też ma swoją, wyjątkową historię, którą z dumą będę opowiadać moim dzieciom i wnukom. Musimy pielęgnować historię naszych rodzin i naszego kraju, abyśmy ze złych wydarzeń wyciągali lekcje i nie popełniali błędów, natomiast dobre wydarzenia niech dają nam siłę i nadzieję.



Prababcia Tulka i Pradziadek Alfons 1950 r.

Gala rozdania nagród Laureatom V edycji konkursu historyczno-literackiego „Znajdź swoją pamiętkę rodzinną i opisz jej historię”

18 czerwca 2024 r. w Sali Rycerskiej Zachodniopomorskiego Urzędu Wojewódzkiego odbyła się uroczysta gala wręczenia nagród Laureatom konkursu historyczno-literackiego „Znajdź swoją pamiętkę rodzinną i opisz jej historię”.

Zadaniem uczestników konkursu było napisanie pracy zawierającej interesujący opis wybranej, pochodzącej ze zbiorów rodzinnych pamiętki wraz z przytoczoną jej historią na tle dziejów rodziny i wydarzeń historycznych.

Autorom wyróżnionych prac dyplomy i nagrody wręczyli organizatorzy konkursu: Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie dr hab. Krzysztof Kowalczyk i Zachodniopomorski Kurator Oświaty Paweł Palczyński.

Galeria zdjęć z uroczystego wręczenia nagród Laureatom konkursu historyczno-literackiego „Znajdź swoją pamiętkę rodzinną i opisz jej historię”

Na zdjęciach wraz z Laureatem od lewej: Zachodniopomorski Kurator Oświaty Paweł Palczyński, Dyrektor Archiwum Państwowego w Szczecinie dr hab. Krzysztof Kowalczyk, Laureat Konkursu, Dyrektor Archiwum Państwowego w Koszalinie Katarzyna Królczyk.

Fot. Bartosz Sitarz, Archiwum Państwowe w Szczecinie



Agata Lisewska, Szkoła Podstawowa nr 68 im. 12 Pułku Ułanów Podolskich w Szczecinie



*Szymon Owczarek, Szkoła Podstawowa
im. Janusza Korczaka w Gostomii*



*Zofia Siuta, Szkoła Podstawowa
im. Przyjaciół Dzieci w Mierzynie*



*Michał Woropay-Hordziejewicz,
Technikum Informatyczne SCI w Szczecinie*



Maja Sabalska, Polsko-Amerykańskie Szkoły Prywatne w Szczecinie



Elżbieta Sidorczuk, Szkoła Podstawowa im. Stefana Żeromskiego w Trzcianku-Zdroju



Laura Wacinkiewicz, Polsko-Amerykańskie Szkoły Prywatne w Szczecinie



*Sara Witkowska, Szkoła Podstawowa nr 1
im. Tadeusza Kościuszki w Nowogardzie*



*Maria Strumińska, Katolicka Szkoła Podstawowa
im. Jana Pawła II w Szczecinie*



*Aleksandra Jarczewska, Szkoła Podstawowa nr 3
im. Polskich Olimpijczyków w Nowogardzie*



*Maria Arsoba, Szkoła Podstawowa nr 6
im. Zdobywców Wału Pomorskiego w Szczecinku*



*Sandra Kossak-Łopyta, Szkoła Podstawowa nr 7
im. Heleny Raszki w Szczecinie*



*Jagoda Kozłowska, XVIII Liceum Ogólnokształcące
im. Józefa Wybickiego w Szczecinie*



*Kaja Machata, Zespół Szkół Sportowych
im. Sportowców Ziemi Szczecińskiej w Szczecinie*



*Adam Patyk, Zespół Szkół Pamięci Ofiar Terroryzmu
11 września 2001 r. w Kaliszu Pomorskim*



*Jakub Narloch, Szkoła Podstawowa
im. Jana Kochanowskiego w Sławsku*